

Warszawa, dnia 25 Kwietnia / 7 Maja 1870 roku.

№ 18. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.

— JW. Namiestnik w Królestwie otrzymał telegrafem wiadomość z St. Petersburga, że młodszy syn Jego Cesarskiéj Wysokości Cesarzewicza Następcy Tronu, Wielki Książe Aleksander Aleksandrowicz, zakończył życie 20 Kwietnia (2 Maja); wyprowadzenie zwłok do katedry w twierdzy Pietropawłoskiéj nastąpiło 21 Kwietnia (3 Maja) o godzinie 6-téj wieczorem, pogrzeb 22 Kwietnia (4 Maja) o godzinie 12-téj w południe; gruba żałoba do pogrzebu, zwyczajna w ciągu miesięca; Cesarskie teatry zostały zamknięte.

SPRAWY RZEMIEŚLNICZE.

I.

Redakcja otrzymała od jednego z rzemieślników list, z powodu zamieszczonych niedawno w Opiekunie „Rad dla młodzieży rzemieślniczéj“, skreślonych przez p. Stanisława Gaszczyńskiego majstra stolarskiego. Pomijamy zarzuty autora listu, tyczące się saméj pracy pana Gaszczyńskiego, jako według naszego zdania nieuzasadnione, gdyż to co dla korrespondenta naszego wydaje się za ogólnikowe i za mało nowe, to to samo dla innych jego towarzyszy, nie będących na równi z nim w rozwoju umysłowym, może być bardzo stósownem. Uważamy jednak za właściwe, z listu tego zamieścić pewien wyjątek, wykazujący, że postęp rzemiosł i udoskonalenie młodzieży rzemieślniczéj, jak z jednéj strony zależy w części od uczniów rzemieślniczych, tak z drugiéj strony, jak do tego postępu, tak i do wykształcenia samychże uczniów, najwięcéj przyczynić się mogą i powinni, majstrowie rzemiosł.



Galvani i Volta (Strona 212).

Oto ów wyjątek z listu:

„W was to szanowni koryfeusze przemysłu naszego, leży wina, że młodsza generacja nie postępuje. Czyńcie wy tylko w waszych kółkach, tak jak prawdziwym obywatelom przystało, a możecie być pewni, że chociażby i zbrakło moralizatorów z piórem, moralność a z nią i dobry byt krzewić się będą. Głosicie: kochaj bliźniego jak siebie samego—głosicie: że wszyscyśmy równi— ale pokażcie mi choć jednego czeladnika, (nie mówię już o majstrze) który podałby rękę chłopcu, któryby postępował z nim jak z młodszym bratem, jak z przyjacielem, a nie jak z niewolnikiem; któryby szczepił w nim poczucie osobistéj godności, tego że tak powiem najważniejszego bodźca, do szlachetnych czynów. Pokażcie mi proszę, aby jednego majstra, któryby chociaż słowem skarcił czeladnika za nieludzkie, częstokroć

obchodzenie się z chłopcem, któryby chociaż przez jedną godzinę na tydzień, zajął swoich uczniów czytaniem, zachęcając ich do tego serdecznem słowem i własnym przykładem.“

W słowach powyższych tkwi bardzo, bardzo wiele prawdy. Autor listu za ponuro cokolwiek wprawdzie przedstawia sobie stan rzeczy, ogół cały majstrów rzemieślniczych odsądzając od pracy nad wykształceniem należytém uczniów. Tak nie jest. Znajdują się i między majstrami wyjątki, którzy w uczniach widzą braci swoich, którzy poczuwają się do sumiennego spełnienia obowiązków, jakie stan nauczycieli rzemiosła na nich nakłada, którzy pamiętają wreszcie, że od wykształcenia młodzieży na ludzi pracy, uczciwości i godności, zależy nietylko przyszłość ich uczniów, ale jednocześnie i przyszłość ich samych i co najświętsze, przyszłość także kraju całego. Wprawdzie takich majstrów obywateli, nie wieluby u nas naliczyć można; należą oni do wyjątków i nad tem właśnie ubolewać należy. Ale są, i z ogromną większością tylko o swą kieszeń dbających, mieszać ich nie można.

Lecz z drugiéj strony niemniéj prawdą jest, że postęp przemysłu, że umoralnienie rzemieślników, że dobry byt całéj téj ogromnéj liczby pracowników narodowych, nie zawisł od woli samych tylko uczniów, ale przeważnie od starań majstrów. Oni kierują młodzieżą, oni ją kształcą, ona w ich domach ma się uczyć pracy, zaprawiać do uczciwości, napełniać swe serca miłością Boga, ludzką i kraju. Uczeń wchodzi do domu majstra dzieckiem najczęściéj; jako dziecko, wrażliwe jest na wpływy jakie go otaczają; jeżeli więc wpływy są złe, stanie się złym, jeżeli dobre, dobrym być musi. Wpływy jakie wyniósł z domu rodzicielskiego, mogą czasami utrudniać przyuczanie się do dobrego, ale przy serdecznem zajęciu się majstra, nie są do nieprzezwyciężenia. Tymczasem w ogóle inaczéj się dzieje. Termin stawa się często szkołą moralnego zepsucia dla młodzieży; wychodzi ona z pod opieki majstrowskiéj, leniwa, mało lubiąca pracę, a wiele uczęszczająca na hulatyki. Kto tu winien? Przeważnie majster, młodość to jak wosk; można z niego ulepić i twór piękny i potwór obrzydliwy. Jest więc słuszność w tém, gdy się mówi, że jeżeli młodéj generacji rzemieślniczéj bardzo wiele brakuje, to winni temu są majstrowie. Jest więc słuszność i w tem, gdy żądając postępu w rzemiośle i wykształcenia w rzemieślnikach, zwracamy się przedewszystkiem o to do majstrów. Oni są kierownikami, za złe więc kierownictwo, głos publiczny może ku nim się podnosić, może zwracać uwagi na zródło zła i na sposoby wyplenienia tegoż, a nawet może upornych i słyszeć nie chcących, strofować. Tu idzie o dobro ogólne.

ŚWIĄTYNIA MINERWY
w Rzymie.

Każda ruina jest niezrozumiałą zgłoską, jakiegoś wyrazu, jakiejś myśli przeszłości. Dopóki idea, przewodnicząca wzniesieniu gmachów, szczególniéj poświęconych czci religijnéj lub innéj publicznéj potrzebie, żyje w społeczeństwie, dotąd ochraniane i podtrzymywane, symbolizują widomemi znakami pojęcia i wyobrażenia ogółu. Lecz skoro panująca idea znika i ustępuje miejsca innym, nikt się więcéj nie troszczy o nie i albo ulegają gwałtownemu zniszczeniu, albo nikną powoli pod wszechwładném ramieniem natury. Zda się, że siły jéj, zazdrosne władzy ducha ludzkiego, który je mocą swoją zdobywa, rzucają się z podwójną zaciętością, żeby ten zlepek z kamieni i piasku, zwalić, rozwiać i składowe jego części, uwalniając z form strasznych, do pierwotnego stanu powrócić. Proces ten rozkładu, po wyjściu iskry ducha, odbywa się zarówno na trupie ludzkim jak na trupie ruin.

Rzym, którego upadek pod najazdem barbarzyńców, strącił zarazem z wysokości religji państwowéj mitologiczne wielobóstwo, musiał najwięcéj podobnych ruin zachować. Koncentrując w sobie urzędową cześć tylu bóstw przeróżnych i bogactwa całego niemal znanego wówczas świata, zabudował gęsto wierzchołki swoich siedmiu wzgórzy świątyniami, które nagle znalazły się bez wyznawców, bez środków do podtrzymania ich potrzebnych, a co najwięcéj, bez owéj siły urzędowego nacisku, która grozą nadziemskich władców Olimpu, chciała zapewnić sobie władztwo powszechne na ziemi. Jakoż wraz z ostatniem tchnieniem Cezarów, opustoszały lub padły w ruiny, pyszne świątynie i inne gmachy publiczne Romy. Z tych, które jeszcze pozostały po przejściu pierwszéj fali zniszczenia, niektóre wypełniła swoim duchem, nowa idea chrześcijańska i pod strażą świętego znaku Zbawiciela, dochowała aż dotąd; inne, napół zburzone, sterczą pośród wiecznego miasta, zanim je do reszty spłuczą deszcze i wiatry na niewidomych skrzydłach rozniosą.

Do liczby tych ostatnich, należy ruina, z któréj pozostały tylko dwie piękne kolumny korynckie, wgrzęzłe w ziemię dwutrzecią swojéj wysokości, reszta portyku i fryzy, ozdobnéj jeszcze wyobrażeniem Vallady czyli Minerwy. Ztąd ruiny te miane są za świątynię téj bogini, chociaż inne przypuszczenia, każą się w niéj domyślać, świątyni lub forum Nerwy, Łaźni Kajusa i Cezara Luciusa i t. p. Słowem nie można już nawet utrwalić zdania o właściwém przeznaczeniu i określić z pewnością czasu wzniesienia tego gmachu, który pod kierunkiem genjalnéj myśli architektonicznéj, kosztował tyle wysiłków przymusowéj pracy ludzkiéj, w imię idei, znikłéj niepowrotnie bez śladu. W zwaliskach tych, odszukano mnóstwo posągów, jako to: Eskulapa, Pomony, Adonisa, Wenery, Herkulesa i innych bożyszcz starożytnych, o tyle tylko zwracających uwagę współczesnych, o ile w obrobieniu ich wypiętnowało się znamię sztuki, niegdyś posługującéj politeizmowi.

Przed trzydziestu kilku laty, reszty sklepień ruiny zawaliły się, podtrzymano jednak jakkolwiek same mury z tą egoistyczną pieczołowitością, z jaką utrzymują przy życiu konającego, zadaniem mu forsownych leków, przedłużających sztucznie męczarnie konania. A tymczasem do pustego wnętrza, wpuszczono na mieszkanie piekarza, jak gdyby ironija wypadków, chciała wypowiedzieć przez to, że człowiek, po najszczytniejszych bujaniach oderwanych pojęć, wraca znowu pokornie, do powszednich przedmiotów, do pierwszych potrzeb życia.

Jan Prusinowski.



W MAJU

przez

Franciszka Gumowskiego.

I.

rok przeminął, wstają zorze,
Skowroneczek piosnkę dzwoni,
Chłopek pługiem ziemię orze,
Kwiat tęczowe łezki roni.
Słowik w gaju ze zwyczaju,
Wykąpany w perłach rosy,
Grzmi trélami pod niebiosy,
A w kryształach wód ruczaju,
Po nad brzegiem, po głębinie,
Srebrnolita rybka płynie,
I migoce, pluska, tryska.
W ogródeczku dziewczę ściska
Róże, astry, bzy, rezety,
I zasłania w białe rąbki
Piersi śnieżne jak gołąbki,
Bo tulipan ją niestety—
Pocałował. Tam w dąbrowie,
Na fujarce ktoś wygrywa
Swojską nutą, że aż w głowie
Myśl się plącze, bo ogniwa
Duszy z ziemią swoją, świętą,
Tak w człowieku są spojone,
Że gdy na nią uśmiechniętą,
Spojrzysz, czy w tę, czy w tę stronę
I usłyszysz jęk czy pieśnię,
To chociażbyś był i we śnie,
Słuchasz, słuchasz, sam się śmiejesz
Wedle nuty, lub łzy lejesz...

II.

Anioł Pański brzmi na wieży...
Pod figurą Matki Boskiéj,
Biedna wdowa z dziećmi bieży,
By swéj Pani ciężkie troski
Opowiedzieć, ulżyć duszy,
By z schyloną kornie głową,
Wypłakać się gorzką mową.

O, bo nadto łez, katuszy,
A zamało chleba—strawy,
,,Więc o Matko weź miecz krwawy,
A litości rzuć nam słowo,
Ach, litości, o Królowo!"

III.

Wieczór—cisza na lazurze,
Księżyc błyszczy, pełnią świeci,
A gwiazdeczki niby dzieci,
Pomrugują sobie w górze.
Kukułeczka w lesie kuka,
W młodéj piersi serce stuka
Do niebogiéj, do kochanka.
Tętent... dziewczę patrzy, czeka,
Rży coś—słychać już kasztanka,
To on jedzie—i ucieka,
Wraca, wzdycha, pąsem płonie,
I wyciąga naprzód dłonie.
Młyn gdzieś warczy i turkocze,
W gniazdku ptaszę słodko pieje,
A dziewczyna się chichocze,
Gdy ją spytasz o nadzieje,
O miłosne jedno słówko,
Kręci tylko jasną główką,
I choć mówią ,,*tak*" jéj lica,
Milczy przecież—czarownica!

Och, w tym Maju, jakby w raju,
Żyć, przepędzić czas—wiek cały,
Jak w zaklętym bogów gaju,
Kędy same ideały,
I urocze złote wieńce,
I uczucia i rumieńce,
Rosną w piersi, niby kwiaty
Nad powietrznéj woni, szaty,
Z gwiazdzistego niebios kraju—
Potem—umrzeć—umrzeć w Maju!

ELEKTRYCZNOŚĆ DYNAMICZNA,

Galvani i Volta

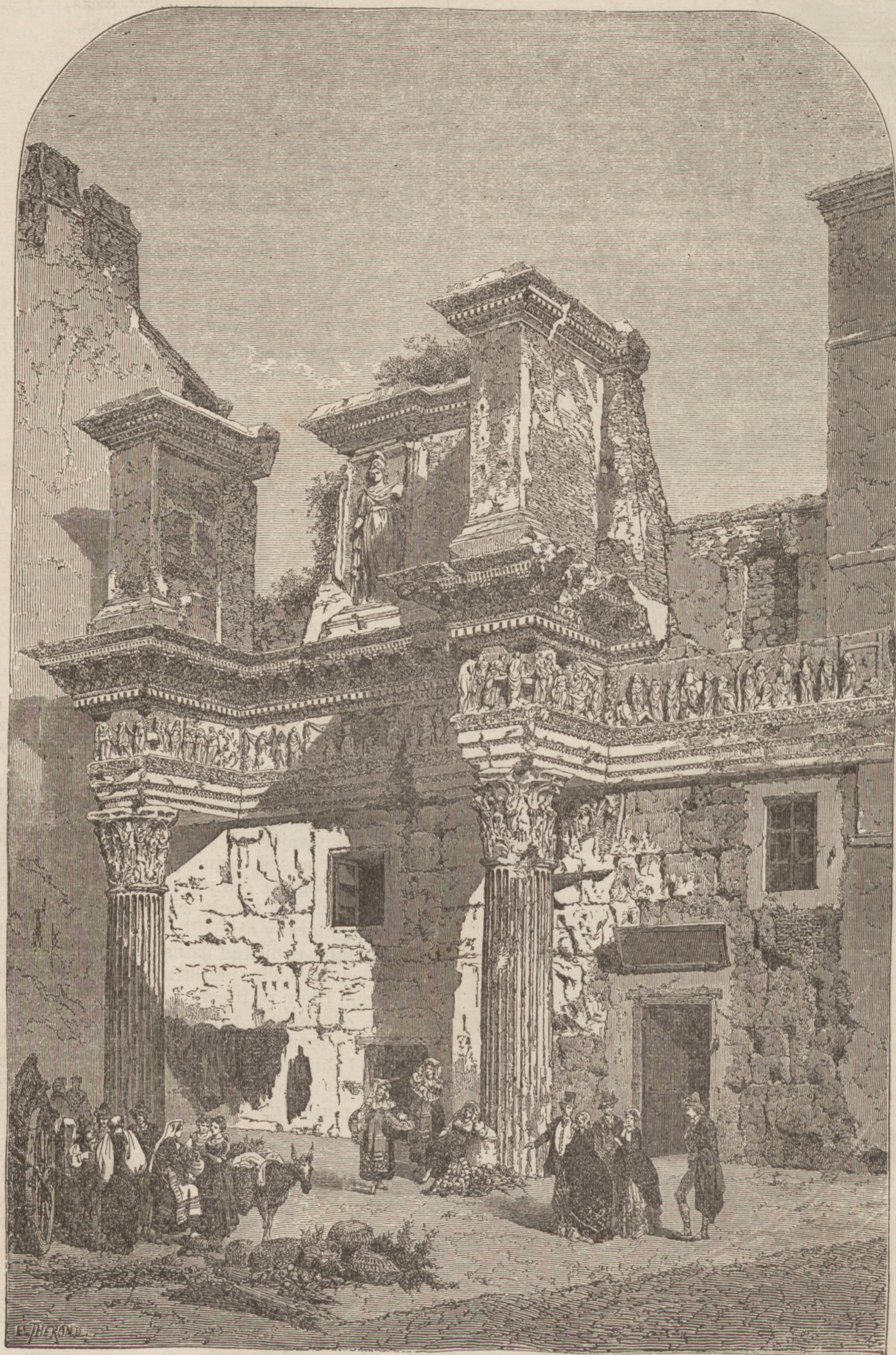
I ICH TEORJE.

Z artykułów poprzednio drukowanych w Opiekunie Domowym, poznaliśmy już elekryczność w spokoju, a choć w części wieloliczne przejawy jéj działalności i istnienia. Zwróćmy teraz wzrok nasz w inną stronę i lotem chyżéj myśli przebiegnijmy nową dziedzinę zjawisk, związanych z naszem życiem, dokonywających się w naszym organizmie. Czyby kto pomyślał, zginając palce ręki, że istnieje jakaś siła mogąca coś podobnego wykonać; czyby wieki przeszłe nie wzięły za obłąkanego człowieka myśliciela, któryby ośmielił się wyrzec: że iskra maleńka zastąpi poniekąd ustną rozmowę, że przebiegnie w jednéj chwili przestrzeń niezmierną i zaznaczy rylcem literę po literze i wyraz złożony do wiadomości oddalonym przekaże? A jednak bieży ta iskra po telegraficznym drucie, bieży na świata krańce od słupka do słupka, mil seciny, bieży taż sama iskra po nerwie tak zwierzęcia jak człowieka, kurcząc muskuły, wprawiając członki w ruch, w życie.

Spójrzmy w przeszłość, w czasie coraz nowych odkryć, gdy umysł ludzki w gorączkowym trudzie co chwila napotykając nieznane tajniki, z zapałem przyjmował każdy fakt zdobyty na drodze doświadczenia i usiłował dojść jego przyczyny.

Wyzwolony z ciasnego spowicia przesądów, tego wroga cywilizacji, oświaty i postępu, targał resztki krępujących go więzów, rzucał się pełnią młodzieńczéj siły, zbierając skarby obfite.

W roku 1790 Galvani, professor anatomji w Bolonji, spostrzegł na świeżo zabitéj żabie dziwne zjawisko. Żaba była obdarta ze skóry, nerwy— niby białe nitki wychodziły z obu stron kręgosłupa; skoro dotknął metalowym prętem jednocześnie



Świątynia Minerwy w Rzymie (Strona 210).

(Drzeworyt z „Kartek Podróży“ J. I. Kraszewskiego, udzielony bezinteresownie Opiekunowi Domowemu, przez Księgarnię Gustawa *Senewalda*).

nerwu i udka żaby, jéj zadnia nóżka skurczyła się w ten sposób, jakby się gotowała do skoku. (Fig. 1).

Galvani który już 1780 roku zauważył że iskierka z machiny elektrycznéj lub butelki Lejdejskiéj, wywołuje podobne ruchy na żabach nieżywych, przypisał to zjawisko elektryczności, która niby płyn miała istnieć w *mięśniach i nerwach żaby*.

Odkrycie to narobiło wiele wrzawy i ową elektryczność na cześć wynalazcy nazwano *galwanizmem*, fizjolodzy przyjęli z zapałem nową teorję, ale znaleźli się i jéj przeciwnicy. Volta professor fizyki w Padwie, mający już wówczas słynne imię w naukowym świecie, stanął na czele nieprzyjaznego obozu.

Według niego, elektryczność zwierzęca nie istniała; wywoływała ją inna przyczyna, to jest zetknięcie dwóch ciał różnorodnych.

Galvani zwracał główną uwagę na muskuły i nerwy żaby. Volta przeciwnie na metale, służące do ich połączenia. Opierając się na tem, że skurczenia udek są daleko silniejsze, gdy się zamiast jednego metalu np. miedzi, dwóch blaszek t. j. miedzianéj i cynkowéj użyje do połączenia, oświadczył że właśnie zetknięcie tych dwóch metalów wywołuje elektryczność.

Obaj uczeni broniąc swych teorji, wpadli w dwie ostateczności. Cokolwiek nowego przedstawił Galvani.— Aleksander Volta zbijał go zręcznie dowodząc, że nawet zetknięcie noża przy odkrywaniu nerwów żaby już jest zdolne wywołać elektryczność. Galvani krajał żaby szklannym nożem, kładł je na szklannej tafelce, łączył mięśnie z nerwem podnosząc ten ostatni szklanną pałeczką i otrzymywał skurczenie. Tu nie było zupełnie zetknięcia metalów, kwestja zdawała się rozstrzygniętą; ale przebiegły Volta zbijał przeciwnika dowodząc, że nerw i mięsień to dwa ciała różnorodne i że nawet takich ciał zetknięcie, elektryczność wywoływać może. Galvani nareszcie zasadniczo dowiódł istnienia elektryczności zwierzęcéj. Położył na tafelce szklannéj dwa udka żaby, zetknął je ze sobą w ten sposób, że muskuł dotykał muskułu, a nerw z nerwem się łączył. Skurczenia powstały i teorja jego sprawdzona ostatecznie pracami p. Matteucci i Du Bois Reymonda, weszła jako pewnik do nauki. Pytamy czy Volta błądził? Przeciwnie miał zupełną słuszność, bo rzeczywiście, przy zetknięciu dwóch metalów wywiązuje się elektryczność, a to z następującéj przyczyny: Dwa krążki miedziany i cynkowy, uważane osóbno, posiadają elekryczność obojętną, to jest połączenie dodatniéj i ujemnéj elektryczności. Przy zetknięciu ustaje ów stan obojętności. Cynk pewną ilość dodatniéj, miedź ujemnej elektryczności otrzymują. Na mocy prawa że dwie przeciwne elekryczności przyciągają się na ścianach krążków zbliżonych do siebie, zbiera się elektryczność, przeciwimienna oddziaływa na siebie wzajemnie, usiłuje zobojętnić; tylko przewodnictwo metalów równoważy to przyciąganie i *przytrzymuje* niejako, jeżeli sobie tym wyrazem chcemy uplastycznić proces zachodzący w tym razie. Ś. p. Mścisław Kamiński w artykule pod tytułem „*Stos Volty*" opisał w *Opiekkunie Domowym* ów przyrząd, którego główną zasadą jest wywołanie elektryczności przez połączenie szeregu krążków cynkowych i miedzianych; nam więc należy w inną udać się stronę, inne opisać zjawiska.

Jeżeli położymy na język krążek miedziany lub cynkowy, doznamy pewnego uczucia nic osobliwego nie przedstawiającego.

Sprobujmy inaczéj, podłóżmy kawałek cynku pod spód, miedź na wierzch języka—złączymy je, a uczujemy smak łagodny. Zmieńmy krążki na odwrót, będzie smak kwaśny.

Weźmy łyżkę srebrną, włóżmy jéj trzonek w wewnętrzny kąt oka, wsuńmy cynkową blaszkę pomiędzy dziąsła, a dolną wargą połączmy trzonek łyżki z blaszką, w oku *zamkniętem* mignie światełko niby iskierka i to w chwili zetknięcia.

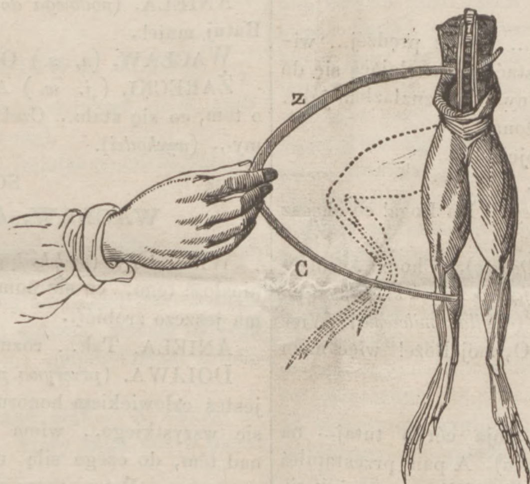


Fig. 1.—(Strona 213).

Mamy przed sobą zieloną żabkę drzewną. Jeżeli który ze śmielszych czytelników odważy się wziąść ją do ręki, niech *jedwabiem* zwiąże zadnie nóżki, posadzi na cynkowej blaszce i do wbitego w stół gwoździka jedwabną nitkę umocuje. Następnie srebrną łyżeczkę ująwszy w rękę, należy oprzeć jeden jéj koniec o blaszkę cynku, a drugim delikatnie dotknąć do żaby.

Skoczy ona jak ukropem oblana i nitkę przerwie, jeżeli nie nazbyt mocna. Kto ma srebrnego rubla niech go położy na blaszce cynkowéj, a na rublu pijawkę zwyczajną umieści. Dopóki ona będzie leżeć na rublu to nic, ale skoro się poruszy i dotknie cynkowéj blaszki, odskoczy, jakby dotknięta gwałtowną boleścią. Galvani by to przypisał elektryczności zwierzęcéj, my powiadamy że tu działa elektryczność *Voltaiczna*, nie zaprzeczając zupełnie, że w ciele pijawki jak i żaby istnieją prądy, bo to poszukiwania naukowe stwierdziły.

Du Bois Reymond wykonał następne doświadczenie:

Świeżo wycięty kawałek nerwu, umieszczał między dwoma drucikami miedzianymi. Druciki te jako dobre przewodniki łączył z przyrządem zaopatrzonym igiełką magnesową. Igiełka taka, ma własność zbaczania pod wpływem strumienia elektrycznego, więc za pomocą téj własności, wykazał istnienie elektryczności w nerwie. Skoro zanurzymy dwa druty w miseczkę szklanną napełnioną wodą i palce naszych rąk włożymy w czarkę, igiełka również istnienie elektryczności ruchem, zboczeniem wykryje. Skoro się palce zegnie, objaw ten występuje jeszcze wydatniéj. Ztąd dowód jak czynność muskularna, pod upływem elektryczności z nerwów płynącéj występuje. (*Dokończenie nastąpi.*)

MIŁOŚĆ i MIŁOŚĆ.

DRAMAT w 2-ch AKTACH

przez

M. Dzikowskiego.

(*Dalszy ciąg*, patrz Nr. 17-ty.)

ANIELA. (*pada na kolana*). Panie! masz w rękach swoich życie i honor mojego ojca. . błaga cię na kolanach jego córka... nieszczęśliwa córka... O! ty jesteś szlachetny!.. Ja czuję, że innegobym nie pokochała... Utop nóż w mojem sercu... ono już jest i tak całe zakrwawione... ale bądź wspaniałomyślny dla mojego ojca... Nie hańb go... ręką twoją... tą ręką, którą jabym do ust swoich przycisnęła. . (*opuszcza głowę*).

WACŁAW. (*podnosi ją*). Powstań pani... jesteś świętą kobietą... (*całuje ją w rękę*), ale ja pani kochać już nie mogę...

ANIELA. (*wstaje*). O, ja nie pragnę nic więcéj... tylko odrobinę miłosierdzia od ciebie, panie Wacławie...

SCENA III.

WACŁAW, ANIELA, ŻARECKI, DOLIWA.

WACŁAW. Cicho... ktoś nadchodzi... to ona... a ja mam ręce skrępowane...

ŻARECKI. (*do Doliwy*). Chodź... chodź prędzéj... widziałem na własne oczy kobiecą postać przekradającą się do ogrodu... byłem w sypialni mojej żony... nie znalazłem jéj... Chodź, pokażę ci, gdzie jest moja żona!..

ANIELA. Wielki Boże! to mój ojciec!

WACŁAW. Nie lękaj się pani...

DOLIWA (*powstrzymując Żareckiego*). Na Boga! co chcesz robić!?..

ŻARECKI. (*ciągnąc za rękę Doliwę*). Chodź... zobaczysz (*przystępuje do Anieli, chwyta ją za rękę i silnie pociąga naprzód sceny*). Ty?!.. Aniela?!.. (*chwila milczenia*). Więc jéj tu nie było!.. Ona niewinna!.. O, mój Boże! więc mam jeszcze żonę!..

DOLIWA. (*n. s.*). Ocalona!...

ŻARECKI. (*do Anieli*). A ty... moja córko tutaj... na schadzkach miłosnych?!.. (*do Wacława*). A pan przestąpiłeś progi mojego domu, żeby go shańbić?!... Wiesz pan, jak się nazywa taki postępek?!..

WACŁAW. Panie!...

ŻARECKI. Co, nie wiesz?!.. O, nadto jesteś niedomyślny... Słuchaj! kiedy kto powie tarzającemu się w błocie żebrakowi, że jest podły, to potrząśnie łachmanami, tak go ten wyraz w samo serce ubodzie... Słuchaj!.. ja ci powiadam, że ty jesteś podły!.. (*chwila milczenia*). Ha, milczysz... prawda, ty nie żebrak... ty nie masz łachmanów... ty masz honor zamiast łachmanów... Co? masz ty honor?.. Masz honor?.. odpowiedz że mi, ty młody rycerzu, co jak wąż wsuwasz się do uczciwego domu, żeby swoją moralną zgnilizną, zatruć jego spokój i cześć, a potém wyszczerzyć zęby na wszystko i nieszczęśliwym plunąć w oczy swoim nikczemnym cynizmem!...

WACŁAW. Panie! nie zapominaj się!.. Możesz ze mną zrobić, co ci się podoba, ale powściągnij twoje obelgi... bo Bóg mi świadkiem, zamknąć ci usta potrafię...

ŻARECKI. (*gwałtownie*). Ty mnie usta zamknąć potrafisz?!. Ty?!..

DOLIWA. (*powstrzymując Żareckiego*). Zastanów się!.. Upamiętaj się!..

ANIELA. (*do Żareckiego*). Ojcze! on niewinny .. ja zbłądziłam... przebacz!...

ŻARECKI. (*podnosi rękę na Anielę*). Precz!..

ANIELA. (*pada na kolana i schyla głowę*). Ja wszystkiemu jestem winna...

ŻARECKI. (*powoli opuszcza rękę*). Moja córka shańbiona! . .

WACŁAW. (*do Żareckiego*). Nie prawda!.. Przysięgam ci na Boga, że nieprawda!..

(*chwila milczenia*).

ŻARECKI. (*łagodniéj do Wacława*). Więc ty ją kochasz?..

ANIELA. (*podnosi się*) (*n. s.*) O, ja nieszczęśliwa!..

WACŁAW. (*wahając się; po chwili niemego pasowania się z sobą*). Tak... kocham...

DOLIWA. (*n. s.*) Skłamał!..

ŻARECKI (*j. w*) I będziesz jéj mężem... i będziesz ją kochał...

ANIELA, (*n. s.*) Boże! co słyszę!..

WACŁAW. (*n. s.*) Jakaś fatalność, popycha mnie w przepaść .. (*głośno, pochwili niemego pasowania się z sobą*). Będę!.. tak— będę!..

ŻARECKI. (*biorąc Anielę za rękę*). Więc przebaczam ci, moja córko .. (*do Wacława biorąc go za rękę*). I tobie przebaczam... Kochacie się... (*łączy rękę Wacława z ręką Anieli*) ja was błogosławię... bądźcie szczęśliwi!..

WACŁAW. (*do Żareckiego*). Panie... możeby lepiéj było...

ŻARECKI. (*spokojnie*). Za tydzień ślub... potem, możecie zrobić, co wam się podoba...

ANIELA. (*podbiega do Doliwy*) (*ciszéj*). Panie! Ratuj go!.. Ratuj mnie!..

WACŁAW. (*n. s.*) O Juljo!.. moja Juljo!..

ŻARECKI. (*j. w.*) A teraz idę uwiadomić moją żonę o tem, co się stało... Czekajcie tu na nas... wkrótce będziemy... (*wychodzi*).

SCENA IV.

WACŁAW, ANIELA, DOLIWA.

WACŁAW. (*podchodząc do Anieli*). Pani rozumie całą doniosłość tego, co się pomimo naszéj woli zrobiło i co się ma jeszcze zrobić?..

ANIELA. Tak... rozumiem...

DOLIWA. (*przerywa podchodząc do Wacława*). Wacławie, jesteś człowiekiem honoru, nie wątpię o tem... domyślam się wszystkiego... wiem wszystko... zastanów się dobrze nad tém, do czego siłą nieszczęśliwych okoliczności, jesteś zmuszony... Patrz, masz przed sobą ofiarę (*pokazuje na Anielę*), twojéj lekkomyślności...

WACŁAW. (*przerywa*). Za pozwoleniem pana... postępowałem z całą rozwagą i szedłem za popędem serca... lekkomyślności w takich wypadkach, nigdy się nie dopuszczam... Jestem nieszczęśliwy... ale pan może nie rozumiesz, że rachować się z sercem nie można...

DOLIWA. Więc cóż chcesz teraz zrobić?...

ANIELA. Jeszcze czas, panie Wacławie... uciekaj, odjeżdżaj natychmiast, zanim mój ojciec powróci... nie zważaj na nic... dla mnie już wszystko skończone... Nie żałuj mnie!... (*chwila milczenia*).

WACŁAW. Nie— tego zrobić... nie mogę... Ja mam uciekać?.. a Julja?.. a cóż się z nią stanie?!..

ANIELA. (*n. s.*) Julja... zawsze Julja... ach, jakże on ją kocha!..

DOLIWA. (*do Wacława*). Więc pan chcesz poślubić Anielę, żeby tu pozostać... dla Julji?!..

ANIELA. (*chwyta się rękami za serce*). Mnie poślubić... dla Julji... mnie?!.. Czy mało wam jeszcze mojego bólu?!.. Mnie poślubić... dla niéj... więc cóż ja jestem?!.. niewolnica... co się sama sprzedawać powinna za cudze nieszczęście... Czy wam się zdaje, że ja... tylko... konać mogę... a umrzeć nie potrafię...

WACŁAW. To, co pani cierpisz, przypisać musisz saméj sobie...

ANIELA. I pan to śmiesz tak mówić... pan?!..

WACŁAW. Tak... ja to mówię...

DOLIWA. (*do Wacława*)—Jesteś pan niesprawiedliwy!.. że nie powiem więcéj... uklęknąć powinieneś przed tą dziewczyną!...

WACŁAW. (*do Anieli*). Pani zamordowałaś moje szczęście... I czegóż pani jeszcze chcesz więcéj odemnie?!..

ANIELA. Ja od pana nic nie chcę... Odjeżdżaj pan!...

WACŁAW. Nie... niestety, ja muszę zostać pani mężem... tak ojciec chce pani, którego nie chcę i nie mogę wyprowadzić z błędu... a dlaczego nie mogę — to pani wiesz o tém najlepiéj... Ja kocham Julję... ja jéj nigdy kochać nie przestanę... Ratując ją przed jéj mężem, poślubiam panią.. To bolesne, prawda, ale trzeba było tu nie przychodzić, panno Anielo... Zostaję więc pani mężem, ale uprzedzam, że tylko z nazwiska... Staniemy razem przed ołtarzem dla tego, żebyśmy potem żyli zupełnie osobno... Ja pani nigdy nie kochałem i nigdy kochać nie będę... A jeżeli pani chcesz wiedzieć prawdę... ja panią nienawidzę! dzisiaj!..

ANIELA. (*na wpół nieprzytomnie*). Och! jaki on okrutny!.. (*do Doliwy biegnąc*). Słyszysz pan... on mnie nienawidzi!.. a ja go tak kochałam... Nienawidzi mnie!.. nienawidzi!.. Czy słyszycie!?. nienawidzi mnie!.. (*chwytając się za serce*). Tak mnie tu boli... nienawidzi mnie!..

SCENA V.

WACŁAW, ANIELA, DOLIWA, JULJA.

(*Julja wpada na scenę przy ostatnich wyrazach Anieli, szybko przybliża się do niéj i staje przed nią*).

JULJA. (*wzburzona*). Więc to ty śmiałaś podnieść oczy na niego?..

ANIELA. (*nieprzytomnie*). Nienawidzi mnie!..

JULJA. Nienawidzi cię?!.. A cóż ty chcesz od niego więcéj?!..

DOLIWA. (*do Julji*). Pani, miéj litość nad tem biedném dzieckiem... ona cię zasłoniła przed słuszną zemstą twojego męża... Popatrz na nią — ona już nieprzytomna z bólu i wzruszenia...

JULJA. Ja mam się litować nad nią?!.. A zdołasz że pan mieć litość nad człowiekiem, który panu nóż w piersi wpychać będzie?!..

ANIELA. (*nieprzytomnie*). Nienawidzi mnie!..

DOLIWA. (*do Julji*). Pani, to niepodobna, żebyś nie pojmowała całego ogromu nieszczęścia, jakie przygniata tę biedną i świętą dziewczynę.. Nie ty jéj, lecz ona tobie złorzeczyć powinna... ale ona tego nie potrafi, bo to jest prawdziwy anioł, jakich się znajduje mało na tym świecie... Nie pastw się pani nad nią, bo inaczéj, nie będę tu nikogo oszczędzał i odkryję całą prawdę mężowi pani...

WACŁAW. Nie— tego pan nie zrobisz!..

JULJA. O, dla mnie już wszystko jedno!.. Wacławie, już się wszystko dla nas skończyło!...

ANIELA. (*nieprzytomnie*). Wacław!.. On mnie nienawidzi... kto to powiedział?!.. Wszak on tego nie mówił?!. (*do Doliwy*). Panie... on tego nie mówił... On nie mógł tego powiedzieć... nieprawda?!..

DOLIWA. Biedna!.. straciła przytomność!..

ANIELA. (*do Julji nieprzytomnie*). A ty.., moja macocha... czy ty się Julja nazywasz?!. On kocha Julję... a mnie nienawidzi!..

JULJA. (*gwałtownie*). I ja ciebie nienawidzę!.. boś ty mi skradła całe moje przyszłe szczęście!..

(*chwila milczenia*).

ANIELA. (*patrzy obłąkanym wzrokiem*). Cha, cha, cha... szczęście... ukradli jej szczęście!.. cha!.. cha!.. cha!.. cha!..

(*Julja się cofa przestraszona*).

WACŁAW. Na Boga!.. Co to jest!...

DOLIWA. Obłąkana!...

ANIELA. (*w obłąkaniu*). (*chwyta się za serce*). Tak mnie tu boli... cha! cha! cha! powiadają o szczęściu... a gdzież jest to szczęście... a któż go widział... ja widziałam ukrzyżowanego Boga... ale szczęścia, jak żyję nie widziałam... (*chwyta się za serce*). Tak mnie tu boli... cha! cha! cha! nie ma szczęścia... niema... doprawdy niema!.. (*D. n.*)

POGADANKI PRAWNE.

III.

Obowiązki właścicieli względem lokatorów.

Niejednokrotnie zdarza się słyszeć a nawet i czytać użalania, skargi i..... złorzeczenia przeciwko właścicielom domów za ich nierzetelne postępowanie z lokatorami. Panowie ci, wynajmując swoje lokale, pewni że poszukujący mieszkania znudzony i zmęczony wędrówką po piętrach na wszystko przystanie, co mu płacić każą za lokal przez niego wybrany—przedstawiają swój towar jako bez żadnego zarzutu, mając na celu jedynie swój interes, aby lokal nie stał pustkami. Nie zważają oni na to, aby mieszkanie wynajęte miało wszystkie warunki konieczne dla zdrowia, wygody i czystości. Obojętnem jest dla nich, czy lokator będzie zadowolony z mieszkania lub nie, aby on tylko płacił i to regularnie, a mając przeciw téj ewentualności, jako faworyzowani przez prawo, łatwe i szybkie sposoby wyciśnięcia że tak powiem, z opóźniającego się mieszkańca pieniędzy za lokal, śmieją się w duchu lub nawet wprost w oczy, jeżeli lokator ośmieli się wspomnieć o reparacjach, bez których nie może się obejść... Mówimy to z własnego doświadczenia jako należący do kategorji oszukiwanych, jak również ze zdarzeń codziennych; nie są to więc obrazki z głowy wysnute, ale bezpośrednio sfotografowane ze scen każdej ulicy i *prawie* każdego domu.

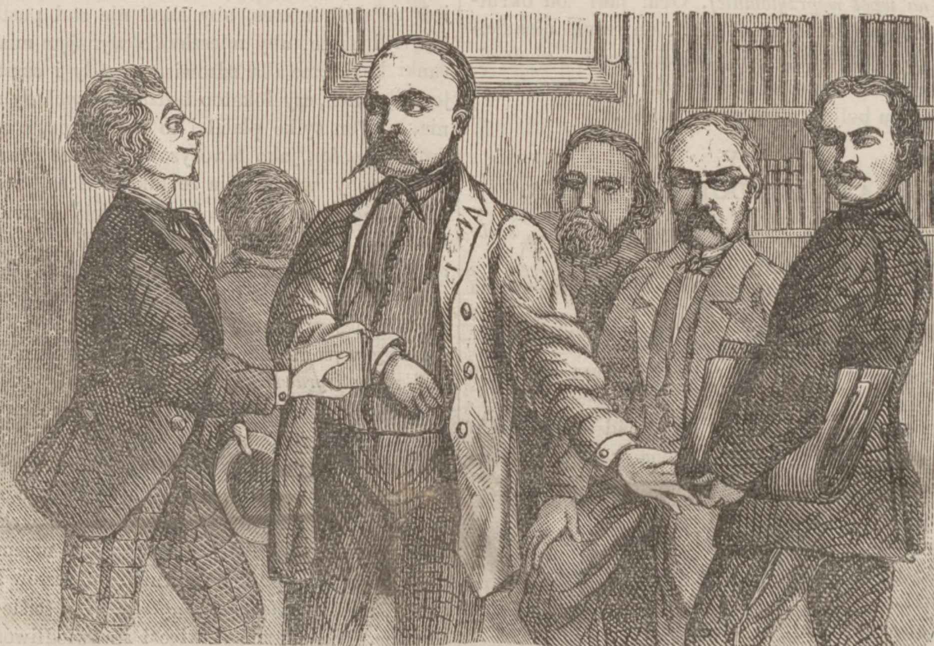
Z takich odpraw dawanych mieszkańcom swoich posiadłości widoczna, że panowie właściciele, którym podaliśmy receptę na lokatorów niewypłacalnych, nie wiedzą lub też zapominają, że mimo uprawnienia do odbierania ceny za lokal, lub też upominania się o nią, mają i oni do wykonania obowiązki, zaciągnięte względem biorącego w najem; bo prawo jako niejednostronne, pilnując równie i interessów lokatora, stoi na straży, aby *zobowiązania wzajemne* były ściśle i święcie wykonywane. Dla słuszności więc i sprawiedliwości, które w prawie panują, pokażemy do czego jest obowiązany wypuszczający lokal, to jest co do niego należy, jako związanego umową, której łamać ani nawet naruszać mu nie wolno pod zagrożeniami, o jakich niżej mowa.

Z natury umowy wynika, że właściciel domu obowiązany jest postawić lokatora w możności osiągnięcia tych użytków, jakie on sobie zamierzył mieć z mieszkania, w którem sam ma przebywać i często cały jego majątek ciężko zapracowany, ma być złożony. Ztąd pierwszym obowiązkiem właściciela jest *wydać lokal* z przynależytościami, będącemi w chwili zawierania umowy nieodłączną częścią mieszkania, *w dobrym stanie pod względem wszelkiego rodzaju napraw*, w ogóle w stanie odpowiednim celowi, na jaki wynajętym został. Przed objęciem więc w użytkowanie lokalu, najmodawca winien przedewszystkim uskutecznić reparacje niezbędne, jeżeli ich stan nie odpowiada warunkom umowy, a następnie usunąć przeszkodę osób trzecich, zajmujących z chwilą sprowadzania się mieszkanie wynajęte. Zaniedbawszy wykonać tych zobowiązań a w szczególności robót, które miał dokonać, ulegnie zaraz na początku temu skutkowi, że obejmujący lokal po poprzedniém piśmiennem wezwaniu wręczonem przez woźnego, może użyć prawa pociągnięcia właściciela przed Sąd i tam żądać zmuszenia go do wykonania warunków umowy, lub też zyskać pozwolenie do dopełnienia na koszt i ryzyko jego tych

reparacji, które odnoszą się do doprowadzenia mieszkania do użytku, albo też nawet wprost działać o rozwiązanie umowy przy zwrocie szkód i strat oraz kosztów processu.

Właściciel nietylko w chwili sprowadzenia się najmobiercy, ale i w ciągu trwania najmu, troskliwie winien baczyć, aby lokal ciągle był używalnym, aby był utrzymywany w stanie w jakim się zobowiązał go oddać i za jaki, a nie za zaniedbany, cena była umówioną. Jeżeliby w trakcie mieszkania, pomijając drobne naprawy, takowe potrzebowało napraw takich nagłych, któreby nie mogły być odłożone do czasu ukończeuia najmu kontraktem zakreślonego, to byleby właściciel zawiadomił lokatora o téj konieczności, musi on znosić wykonywanie napraw, chociażby one pozbawiły go części użytkowania z wynajmowanego lokalu i to bez wynagrodzenia. Do takiéj indemnizacji za niewygody ztąd powstałe, wtedy dopiero ma on prawo, gdy restauracja przeciągnie się dłużéj niż dni 40; za przechodzący czas po za tę liczbę, możność żądania sądowego rozwiązania najmu z winy właściciela. Gdyby wszakże te lub tym podobne wady i niedostatki były znane lokatorowi w chwili zawierania umowy, lub później je tolerował dobrowolnie, to ponieważ ,,chcącemu nie dzieje się krzywda" musi cierpieć, bo był o tem wszystkiem uprzedzony. Ale nie dosyć na tem, że lokator może wystąpić przed Sąd o rozwiązanie stosunku umownego, ma on jeszcze słuszne prawo do wynagrodzenia za straty, jakie mógł w skutek tych wad i niedostatków ponieść. Miara wszakże tego zwrotu strat nie jest w prawie określoną, bo trudno jest przewidzieć z góry setki wypadków, powodujących szkody, jak również i wysokość samych szkód, na jakie najmobierca został narażony; oznaczenie liczebne i pieniężne stósownie do przywiedzionych okoliczności i faktów, Sądowi jest pozostawione. Z tego przepisu rzeczywiście surowego, możemy się przekonać, że prawodawca osłania lokatora swoją opieką, aby nie był exploatowany przez zamożnego właściciela, naznaczającego cenę za użytkowanie z rzeczy, której ono może nie być równoważnikiem.

HUMORESKA.



(W jednéj z Redakcjów).

Autor. Mam zaszczyt ofiarować Szanownéj Redakcji moje dzieło i proszę o rozbiór.

Jeden z Redaktorów: Panie Łaskawy, jak pan widzisz, Redakcja składa się z kilku Członków; gdybyśmy więc chcieli pańskie dzieło **rozebrać**, potrzebowalibyśmy **więcéj** egzemplarzy.

cena najmu ulegnie zmniejszeniu stósunkowo do całości płaconego najmu.

Za *wszelkie wady i niedostatki*, wykryte w ciągu najmu i przeszkadzające używaniu mieszkania, właściciel odpowiada przed Sądem i to *odpowiada nietylko jeżeli wiedział o nich* zawierając umowę, ale nawet chociażby *nie wiedział*, oraz bez względu, czy te wady istniały w chwili umawiania się lub powstały dopiero w ciągu najmu. Wady te we wszystkich wypadkach jak: wilgoć zatruwająca nasze płuca i materjalnie rujnująca nasze ruchomości, dymienie kominów w kuchni, pieców lub ich zła budowa, nieprzeliczone menażerje różnych zwierząt wielonożnych nocnych, nawet sąsiedztwo na niższych lub wyższych piętrach osób lub towarzystw całych nieznośnych, albo obrażających przyzwoitość publiczną, słowem wady i niedostatki, których istnienia najmobierca przypuścić nie mógł i co większa których usunąć nie można, dają mu słuszną

We wszystkich przywiedzionych zdarzeniach, lokator nie może sam sobie wymierzać satysfakcji, bądź to zatrzymując część czynszu, bądź opuszczając samowolnie mieszkanie; naraziłby się bowiem na poszukiwanie ze strony właściciela i dla tego, przez pośrednictwo Patrona winien uciec się do pomocy ramienia publicznego, do Sądu, który odpowiednio położeniu rzeczy, znalazłszy pretensję lokatora należycie usprawiedliwioną, co większa jeżeli znajdzie, że wina uchybienia umowie leży po stronie właściciela i ta wina będzie sprawdzoną przez dowody, wtedy wyrzeka rozwiązanie wzajemnych stosunków, przyznaje wynagrodzenie szkód i strat lub też udziela właścicielowi zwłokę dla zadosyćuczynienia zobowiązaniu.

Henryk Turowski.

☞ **Patrz Dodatek.**

Dodatek do N^ru 18^go Opiekuna Domowego 1870 r.

WÓŁ NIEPRZYJACIELEM.

(USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW OFICERA AUSTRYACKIEGO).

O! i ja niegdyś byłem Farysem!

..... A było nas trzy bataliony celnych strzelców i dwa plutony lekkiéj jazdy, z których jeden znajdował się pod mojem dowództwem. Cofając się od pięciu dni przed mocno nacierającym nieprzyjacielem do głównego korpusu, stanęliśmy na nocleg, na prześlicznéj polanie znajdującéj się wśród gęstego lasu. Pułkownik bowiem nie chciał dla tego nocować we wsi, by zmylić drogę ścigającemu nas nieprzyjacielowi, aże było to w Lipcu więc mogliśmy się doskonale przespać pod niebem gwiaździstem wśród szmeru i gwaru marzącéj natury. Wprawdzie owéj nocy, których gęsty łańcuch o kilkadziesiąt kroków otaczał obóz.



Lapończykowie (Strona 217-ta).

réj dzieje opisać chcę, niebo było mocno zachmurzone i drobny deszczyk padał bezustannie. Było ciemno jak w grobie...

Rozstawiwszy sam konne wedety, objechałem je jeszcze raz przed pójściem na spoczynek, zalecając wszędzie pilną uwagę i baczność, poczem wróciłem do obozu; w skleconym naprędce szałasie z gałęzi, owinięty w płaszcz, rzuciłem się na ziemię, nie odpasując nawet szabli i pistoletów.

W obozie panowała głęboka cisza, przerywana tylko szmerem kropiącego ciągle kapuśniaczka i miarowym krokiem pilnującego koni *sznurwacha*. Jakkolwiek przecież byłem mocno zmęczony, zasnąć nie mogłem, marząc o rodzinie i ukochanéj... Minęło tak kilka godzin. Przymuszając się ciągle do snu, zasnąć przecież nie mogłem. Wstałem więc i owinąwszy się w płaszcz wyszedłem z szałasu, w zamiarze objechania jeszcze raz wedet i pieszych pikiet,

W téj myśli krzyknąłem:

— Sznurwach!

— Jestem panie poruczniku, odrzekł tenże zbliżając się do mnie.

— Zawołaj mi podoficera dyżurnego!

— Dobrze, panie poruczniku! i pobiegł.

Zaledwie atoli zniknął mi z przed oczu, aliści nagle wśród ciszy nocnéj, tuż prawie pod obozem, rozległ się strzał.

Zadrżałem — i nie mogłem jeszcze zebrać przytomności gdy rozległo się drugie paf! tętniąc złowrogo echem po lesie.

Widocznie strzały pochodziły od pikiet pierwszych— mimowolnie pytanie przebiegło przez usta:

— Co się stało z konnemi wedetami?

Gdy w tem trzecie: paf! zagrzmiało mi nad uchem.

Więc porwałem się jak szalony i krzyknąłem wielkim głosem:

— Do broni! do broni!

Obóz cały był na nogach— i rozlegały się rozkazy:

— Formuj się! baczność!

Pluton mój już cały stał przy koniach. Wtem przypadł do mnie adjutant pułkownika i krzyknął:

— Poruczniku na rekonesans!

— Na koń! krzyknąłem.

Pluton siadł na koń.

— Dwójkami od prawego—kłusem, marsz!

Pluton zwinął się w dwójki i ruszył kłusem.

Skierowałem się w stronę strzałów — wtem zagrzmiał głos:

— Kto idzie?

— Swój, odrzekłem—a kto ty?

— Pikieta!

— Czyś ty strzelał?

— Ja!

— Do kogo?

— Nie wiem — coś szumiało pomiędzy liśćmi, jakby jazda pędziła, na mój głos nie odpowiadało, więc strzeliłem.

— Ej! bratku ty coś krewisz — naprzód! marsz! i popędziłem dalej. Wyjechaliśmy już z lasu i na wzgórku ciemną sylwetką rysowała się konna wedeta. Zaledwie ją ujrzałem, aliści błysło i rozległ się strzał.

— Stać! krzyknąłem.

Pluton stanął. Wlepiłem wzrok w wedetę. Ta, po strzale stała nie ruszając się z miejsca, niby słup kamienny.

— Naprzód, marsz!

Dobiegliśmy tak do wedety.

— Co słychać? pytam.

— Nie wiem, poruczniku, coś pędzi po polu — czort widno tumanami wodzi.

— Czy słyszałeś strzały za tobą?

— Słyszałem.

— Aleś przedtem nic nie widział?

— Nie!

Wzrok miałem wlepiony przed siebie. W cieniach nocy bałwaniła się jakaś czarna massa — i słychać było tentent po kamienistéj drodze. Zdawało mi się, że pędzi ku nam szereg rozwiniętéj jazdy. Więc huknąłem:

— Baczność! formuj pluton w lewo, dyrekcja na prawo, kłusem, marsz!

Pluton w milczeniu rozwinął się.

— Stępa! marsz!

— Pluton ruszył. Pędząca ku nam jazda zatrzymała się i cisza rozległa się w około. Postanowiłem korzystać z chwili i uderzyć na nią.

— Skróć cugle, do ataku broń! — kłusem, marsz!

Lecz biegniemy, i biegniemy a tu nic przed nami nie ma. Dopadliśmy w końcu jakiejś wioski. Zbudziłem mieszkańców, pytając o nieprzyjaciela. Nikt o niczem nie wiedział. Więc wróciłem na powrót, objechałem cały las w około i o świcie wróciłem do uspokojonego już całkiem obozu. Tu dopiéro dowiedziałem się, że wół przeznaczony na jutrzejsze śniadanie, urwał się i uciekł, a wpadając na piesze placówki, zaalarmował cały obóz. Inny rekonesans złapał biedaka, zranionego dwoma kulami. A! było téż, było śmiechu!....

Walery Przyborowski.

LAPONJA i LAPOŃCZYKOWIE.

Czyżby dziś jeszcze w ucywilizowanéj, szczupłéj i w wielu miejscach przeludnionéj Europie, znajdowały się strony puste i nie mające Europejskiego pozoru? Tak jest, ma ona jeszcze takie kraje mianowicie na północnych swych krańcach, gdzie srogość klimatu, a raczéj długość zimy i nocy zarazem, nie sprzyja kulturze stron łagodniejszych, i Europejczyk woli się obywać w ciasnocie, albo się wynosić gdzieś za morza, niżeli się narazić na znoszenie dokuczliwych przykrości, właściwych okolicom polarnym, a do których liczby należy Laponja, położona stosunkowo tuż pod jego bokiem. A jednak i tam są ludzie i nie utyskują: że Bóg im przeznaczył mieszkanie w téj wydziedziczonéj ziemicy, owszem, kochają ją i przekładają nad wszystkie inne kraje. Gdyby Lapończyka zawieść w strony łagodniejsze, chociażby do Włoch nawet, on nie pojąłby ich uroczego klimatu; on by nie uczuł, że są piękniejsze i przyjemniejsze od jego ojczyzny, do któréj stęskniony wracałby czemprędzéj. Przekłada on nędzne w naszych oczach, na lato z gałęzi splecione szałase lub duszne podziemia, w których zimę przepędza, nad wszystkie pałace stolic; puszcze nieprzebyte swojego kraju, nad gaje cyprysowe południa, a obyczaje surowe po przodkach odziedziczone, nad miękkość cywilizacyi. Lapończykowie są prawie dzicy, a jednak i w nich przebijają się pewne uczucia szlachetne, póki się charakter wpływami zewnętrznymi nie skrzywi, co jest dowodem, że uczucia te są im wrodzone.

Laponja nie może zresztą narzekać na zupełne upośledzenie pod względem malowniczości przyrody: jéj góry granitowe, urwiska, bystre strumienie, wodospady, liczne jeziora i lasy, a nadewszystko często powtarzające się w porze zimowéj zjawiska zorzy północnéj, tworzą widoki wspaniałe i oryginalne, jakiemi nie wiele krajów poszczycić się może. Lato tutejsze chociaż bardzo krótkie, wiele także posiada uroku. Sprawia ono dziwne wrażenie na obcym przybyszu, ponieważ w ciągu jego dzień trwa nieprzerwanie, i przez pewien przeciąg czasu, słońce z firmamentu wcale nie zchodzi. Lasy, w których niepospolite są sosny i brzozy, oraz płaszczyzny okrywają się sutą zielonością, pośród któréj ujrzeć nieraz można niby rozesłany jednolity kobierzec innéj barwy: są to kwiaty lub jagody, najczęściéj poziomki, pokrywające rozległe przestrzenie.

Głównym zatrudnieniem Laponów w porze letniéj jest rybołówstwo, które sowicie się im wynagradza. Mnóstwo ryb, w jakie obfitują ich rzeki i jeziora, rozchodzi się w różne strony Europy. Rybołówstwo nie jest przecież jedyném ich zajęciem na większą skalę: podczas długiéj zimy, zatrudnia ich także polowanie. W puszczach swoich znajdują niemało grubego zwierza i są tu: niedźwiedzie, wilki, rosomaki, lisy, gronostaje, a niekiedy nawet i bobry. Za płody swego kraju, otrzymują od swych sąsiadów Rossjan, Szwedów lub Norwegów chleb, tytoń i wódkę. Ta ostatnia stanowi dla nich przysmak ulubiony i jest ciężką dla nich plagą, bo biedni używają jéj nad miarę, skutkiem czego działa ona nader szkodliwie na ich umysł. W ogóle Lapończycy są bardzo żarłoczni, ależ i zdrowie ich jest żelazne; oprócz szkorbutu, żadnych innych chorób nie znają. Budowy są krępéj, silnéj, chociaż wzrost ich jest nader mały, tak że mężczyzna dochodzący pięciu stóp, uważa się już za bardzo wysokiego. Szyja Lapona jest krótka, ręce długie, głowa duża, kości policzkowe wydatne, usta duże, oczy ciemne, wązkie, włosy czarne. W latach dzieciństwa, rysy jego są wcale przyjemne, ale starość, która równie prędko tu nadchodzi jak u mieszkańców stref podrównikowych, nadzwyczajnie go oszpeca. Ubiór Lapończyka składa się z rodzaju worka uszytego rękami kobiet, na lato z sukna, a na zimę ze skóry renifera szerścią wewnątrz obróconéj; z pasa, u którego zwykle nóż zawieszają, z długich butów również ze skóry nóg renifera; koniec buta jest przedłużony, ostry i zakrzywiony w górę; głowę przykrywają czapką lisią albo re

niferową z długiemi i jak taśma przy końcu zwężonemi uszami, które zawiązują pod brodą. Kobiety ubierają się tak samo jak mężczyzni.

Jak widzimy, renifer najwięcéj im dostarcza materjału do odzieży, a oprócz tego używają go do jazdy, żywią się jego mięsem, serwatką i serami z jego smacznego mleka. Jestto więc nieocenione dla nich stworzenie i stanowi jedno z głównych bogactw krajowych. Dlatego téż Lapończycy hodują liczne stada tych zwierząt, które u możniejszych na tysiące sztuk się liczą. W zimie żywią się one mchem i drobnymi krzewami. Są to jedyne zwierzęta używane do jazdy w czasie zimy, kiedy wszystko jest pokryte głębokim śniegiem. Po bezdrożach pędzą jak błyskawice, ciągnąc za sobą leciutkie saneczki, na których pan siedzi. Zechce kto zapytać, jak można tak śmiało się puszczać w niezupełnie bezpieczną drogę, kiedy noc okrywa przestrzenie? Noc ta nie jest wcale tak ciemną jakby nam się zdawało, bo śnieg połyskujący, odbija światło od siebie, a co więcéj często się tu zdarzają Zorze Północne, podczas których wszelkie roboty mogą tak samo niemal być wykonywane, jak kiedy słońce świeci. Do oświetlania mieszkań Lapońskich, służy lampa napełniona tranem lub tłustością renifera. Jadło gotują nad ogniskami roznieconemi w głębi izb, u których szczytu mają otwory dym przepuszczające; jednak otwory te niedobrze odpowiadają swemu przeznaczeniu i mieszkania są dymne, a ztąd Lapończycy często cierpią na oczy.

Lud ten nie zamieszkuje stale na jednem miejscu, ale wiedzie życie koczujące. Główną tego przyczyną jest klimat niejednakowy we wszystkich częściach kraju: lato jest daleko milsze wewnątrz kraju, zima zaś bywa łagodniejszą nad morzem. Laponja rozciąga się wokoło granicy Rosji ze Szwecją i Norwegją i dla tego też każde z tych państw część onéj posiada. Krajowcy jednak rozsiani po swojéj rozległéj ziemi, nie zdają się przyznawać nad sobą żadnego zwierzchnictwa, a każda osada zostaje pod władzą własnego starszyny. Charakter mają łagodny i są bardzo gościnni dla każdego, w kim tylko nie widzą nieprzyjaciela. W gniewie jednak są zawzięci. Obyczaje ich dość proste i poczciwe. Chociaż dzisiaj uważani są prawie wszyscy za chrześcjan, nic jednak dziwnego, że wiele jeszcze u nich pozostało obrzędów pogańskich, przez liczne wieki zaszczepionych. Pozostał jeszcze śród nich pewien rodzaj czci dla niedźwiedzia; a wiele jest miejsc nieprzystępnych, którym Lapończykowie przypisują obecność jakichś duchów, straszydeł i żaden z nich nie odważyłby się w takich miejscach przebywać. Przy braku cywilizacji przechowało się u nich wiele zabobonów; są między nimi: astrologowie i lekarze, leczący niby za pośrednictwem jakichś czarów. Kiedy Lapończyk umiera, chowają go bez trumny, kładą czasami do grobu ulubione przez niego jadło, broń i narzędzia, na grobie usypują kurchan, a na szczycie kładą sanie dnem do góry przewrócone. Reniferów pozostałych po zmarłym właścicielu, nikt nie może używać do zaprzęgu.

Niektóre jednak z tych obrzędów bywają pełne rozrzewniającego uroku, jak naprzykład uroczystość, kiedy cała osada wychodzi z pewnymi obrzędami na pagórek, aby pożegnać ostatni raz w roku pokazujące się słońce. Lapończycy mają nawet swoje pieśni i tańce.... Wszystko to daje nam dobre wyobrażenie o ich skłonnościach. A przecież jak to nieprzychylnie niejeden podróżnik ich opisał! Zkądże to pochodzi? Ztąd, że większa część turystów udaje się do ich kraju dlatego tylko, aby rozpoznać przyrodę tych stron, albo zbadać, jakie zyski można z nich osiągnąć, nie zaś z myślą przyniesienia czegoś zbawiennego dla mieszkańców, nie z myślą głębszego zbadania ich charakteru i zaszczepienia zbawiennéj cywilizacji.

Konrad Prószyński.

KRADZIEŻ FOTOGRAFII.

Odkąd sztuka zdejmowania wizerunków za pomocą promieni słonecznych tak wielkie zrobiła postępy, i tak szeroko się rozpowszechniła, że dziś prawie każdy daje się fotografować, przybył jeden więcéj z grzeszków, które bezkarnie można popełniać w obec opinii publicznéj, lubo je zgodnie potępiają zarówno katechizm jak i kodeksy karne. Kradzież fotografii podobnie jest tolerowaną jak wykradzenie panny, zabicie człowieka w pojedynku, sprzedaż ślepego lub dychawicznego konia za zdrowego, zatrzymanie pożyczonéj książki i tym podobne niemoralne czyny, na które świat przez szpary patrzy. Ileż to dandysów najmniejszego nie ma skrupułu kraść, gdzie się tylko da, fotografie ładnych twarzyczek, ażeby z nich osobne zakładać galerje swych nibyto zdobyczy? Czasem jednakże takie zbyt daleko posunięte lubownictwo piękności fotografowanych, może mieć nieprzyjemne następstwa, jak tego niedawno pewien młody urzędnik w Berlinie, pan Hugo M. doświadczył. Przeniesiony świeżo do stolicy pruskiéj, oddał jednę z pierwszych wizyt bogatemu kupcowi Z., do którego miał listy polecające od swego stryja, bezdzietnego bankiera w Kolonii. Pan Z., który z bankierem żył w przyjaźni, przyjął jego synowca bardzo dobrze i zaprosił na obiad dnia następnego, na który tenże tym ochoczéj się stawił, gdy się dowiedział, że pan Z. ma śliczną córkę jedynaczkę. W czasie obiadu oczy młodego urzędnika były ciągle skierowane ku pannie Luizie, która istotnie była niepospolitą pięknością. Po obiedzie poprowadził go uprzejmy gospodarz do salonu i zaczął mu pokazywać swój zbiór miedziorytów, album z fotografiami, a w końcu zbiór numizmatów. Na ostatnie gość patrzał z widocznem roztargnieniem, choć wszystko z grzeczności chwalił, za to raz po raz ukradkiem spozierał na leżące obok album, które właśnie w tem miejscu było rozwarte gdzie obok rozpromienionego wewnętrznem zadowolnieniem oblicza papy jaśniała kokieteryjnie uśmiechnięta twarzyczka panny Luizy. Dziwny na niego wpływ wywierała ta fotografia, nie mógł oczu od niéj oderwać i sam nie wiedział jak to się stało, że ją jednym zręcznym zamachem z album wysunął i ukrył. Pan Z. nie mógł tego był widzieć, bo się schylił, właśnie, by podnieść z ziemi jakąś monetę, która mu z ręki wypadła. Panna zaś Luiza siedziała w drugim końcu salonu, zajęta świeżo przyniesionym Bazarem. Dziwna tylko rzecz, że się właśnie w téj chwili zarumieniła. Uradowany swą zdobyczą pan M. pożegnał niezadługo kupca i jego piękną córkę i pobiegł do domu powiesić nad łóżkiem swem skradzioną fotografię, kupiwszy dla niéj po drodze pozłacane ramki. Odtąd młody urzędnik był częstym gościem w domu kupca. Ojciec przyjmował go zawsze dobrze, a od czasu jak się o niebezpiecznéj chorobie bankiera kolońskiego dowiedział, zaczął być dla niego nawet serdecznym; i panna nie zdawała mu się być obojętną. W tem nadchodzi wiadomość, o śmierci bankiera. Młody Hugo mając wszystkie widoki za sobą, iż jako najbliższy krewny w zostawionym przez stryja testamencie jedynym mianowany został spadkobier-

cą, nie wahał się bogatemu kupcowi o rękę córki oświadczyć. Przyjęto go, a w tydzień po deklaracji odbyły się normalne przed notarjuszem zaręczyny, przy których pan Z. 20,000 talarów posagu swéj córce wyznaczył. Błogo upływały chwile młodéj parze zaręczonych, aż ich fatalna przerwała niespodzianka. W sześć tygodni po śmierci bankiera otworzono testament, który strasznie zawiódł nadzieje urzędnika; Stryj zapisał mu bowiem tylko 5,000 talarów, resztę zaś majątku swego na cele dobroczynne przeznaczył. Zmartwiony tem pan Hugon, szukał pociechy u przyszłego teścia, który, jak się zdawało, z wielkiem współczuciem przyjął tę niepocieszającą nowinę, bo się głęboko zaraz zamyślił i niezadługo wyszedł z pokoju. Podczas gdy narzeczony sam na sam zostawszy z Luizą, rozwijał jéj teorje szczęśliwego pożycia małżeńskiego mimo skromnych dochodów, wertował już jéj ojciec z adwokatem pierwszy tytuł drugiéj części Landrechtu, szukając sposobu, jakby się zięcia hołysza pozbyć z karku. Bez wszystkiego nie mógł z nim zrywać, nie chcąc ryzykować 5,000 talarów, o które się narzeczony, jako o czwartą część posagu, miał prawo upominać. Prawny zaś powód zerwania niełatwo można było wynaleść, ile że urzędnik żadnego nie użył podejścia a zawód sukcesji nie mógł być uważany za zmianę osobistych lub majątkowych stosunków narzeczonego, jaka do odstąpienia od notarjalnéj lub sądowéj umowy zaręczyn uprawnia. Długo trwała narada aż wreszcie kupiec krzyknął: dobrze! i wyłożył prawnikowi orygiginalny plan pozbycia się urzędnika. Adwokat aż się za boki chwycił od śmiechu usłyszawszy ów pomysł i niebawem obaj wzięli się do pracy, by go wykonać.

Tymczasem Hugo, nie przeczuwając nic złego, pożegnał się z narzeczoną i poszedł na operę dla zapomnienia trosk swoich. Wróciwszy późno wieczorem do domu, dowiaduje się, że jakiś pan był u niego, że obejrzał starannie jego fotografie i odszedł, nie powiedziawszy swego nazwiska. Z opisu poznał Hugo, że to był pan Z., postanowił przeto nazajutrz przed południem pójść do niego, by zapytać się, czy nie ma jakiego interesu. Jakoż, zaledwie skończył pracę swą w biurzę, pobiegł co prędzéj do mieszkania p. Z., lecz zdziwił się nie mało, dowiadując się, że on wraz z córką wyjechał z Berlina. Minęło kilka dni, a kupiec nie wraca, ani też nie daje nic słyszeć o sobie. Gdy raz tak nad ranem duma, wchodzi woźny sądowy i wręcza mu zapozew. — To nie może być do mnie, zapewne pomyłka. — Przepraszam; mam zapozew do asesora rejencyjnego pana Hugo M. — A tak, to do mnie, lecz cóż to u kata znaczy? — Rozerwał pieczęć i czyta. Raz i drugi oczy przeciera, nie chcąc wierzyć temu, co widzi, lecz najwyraźniéj jest tam napisane: ,,W sprawie śledczéj przeciw Hugonowi M. o kradzież, zapozywa się niniejszém pana na termin dnia” i t. d. Oczywiście, pomyślał sobie, jakaś pomyłka albo może denuncjacja, któréj bezzasadność przy pierwszém zaraz przesłuchaniu się okaże. Nie tracąc przeto fantazji, stanął w oznaczonym terminie przed kratkami. Rozpoczęło się badanie.—Pan Hugo M.?—Tak.—Zaszła do królewskiéj prokuratorji denuncjacja, żeś pan dnia 8-go Lutego r. b. w południe kupcowi tutejszemu panu Z. we własném jego pomieszkaniu ukradł fotografię, wartującą 15 sgr. Czy pan przyznajesz się do tego? — Młody urzędnik zbladł, osłupiał, jakby grom w niego uderzył i zaledwie na powtórne zapytanie sędziego zdołał wyjąknąć: — Tak jest, wziąłem fotografię, lecz ona przedstawiała moją narzeczonę, a pan Z. jest przyszłym moim teściem. — Wtedy pan nie byłeś jeszcze narzeczonym, a czy dziś pan Z. chce zostać pańskim teściem, wątpię, ponieważ denuncjacja przez niego samego jest podpisaną. — Otworzyły się teraz oczy biedakowi, tak, że od razu zrozumiał sprawę. Faktu samego nie chciał zaprzeczać, tylko karogodność jego.—Panie sędzio, rzecze, przyznaję się do wszystkiego, lecz czy na serjo może tu być mowa o kradzieży? czy mogę za taką bagatelę być karanym?—Żałuję bardzo pana, i umiem ocenić jego przykre położenie, lecz nasz kodeks nie patrzy na wartość skradzionéj rzeczy. Ja sam musiałem raz jednego biedaka wskazać na grzywny za to, że zerwał różę w cudzym ogrodzie. Ale próbój pan wywinąć się; zależy wszystko od obrony. Ciekawe było posiedzenie sądu w téj sprawie i liczną zwabiło publiczność. — Prokurator uzasadniając oskarżenie przytoczył, że według kodeksu karnego kradzież popełnia, kto cudzą ruchomą rzecz bierze w zamiarze bezprawnego przywłaszczenia sobie i wykazał przechodząc punkt po punkcie, że wszystkie warunki okoliczności zachodzą w danym przypadku. Przyjmując okoliczności łagodzące, wniósł najniższy stopień kary, t. j., tydzień więzienia lub 10 talarów grzywien. Cały wywód prokuratora był tak jasny i logiczny, że obżałowany zwątpił o uwolnieniu i smutnie zwiesił głowę. Wtém powstał obrońca jego, jeden z najlepszych mówców stolicy pruskiej i jednym argumentem wywrócił całe oskarżenie. Uderzył w to, że czyn obżałowanego nie zawierał złéj woli, która jest niezbędnym warunkiem każdego przestępstwa. Obżałowany wiedział, że panna Z. prawdopodobna właścicielka fotografji, widzi całą jego manipulacją z album dla siebie nader pochlebną i miał prawo wnosić, iż ona milcząco pochwala ją, tym bardziéj, że się zaczerwieniła wtedy po uszy.—Panna Z. zawołana na świadki, potwierdziła zaczerwienienie swe, dając zarazem sędziom ładną próbkę takowego. Sąd obżałowanego bez namysłu uwolnił. Fotografję jednakże, która podczas posiedzenia jako *corpus delicti* na stole leżała i przez sędziów z przyjemnością była oglądaną, póki się jéj oryginał nie zjawił, odebrał pan Z. napowrót. Z powodu procesu, który wielki zyskał rozgłos, nie mógł się on długi czas pokazywać na giełdzie. Uciekając przed drwinkami, pojechał do wód i wróciwszy zastał Luize, która całéj téj sprawie była obcą, już panią asesorową. Bez osobnego zezwolenia ojca ślub odbył się na mocy tego, że istniał formalny kontrakt zaręczyn.

OWAD WYBAWCZY.

W czasach rewolucji francuzkiéj 1793 r. kiedy Duchowni wierni Religji, ginęli setkami pod nożem gilotyny, młody kapłan z Brives-la-Gaillarde, nazwiskiem Latreille, wraz z innymi towarzyszami niedoli, wysłany był do Bordeaux i tam osadzony w więzieniu, oczekując deportacji do Gujany. Mówią, że Prokonsul, Sekretarz Roberspiera, który natenczas przewodniczył komitetowi bezpieczeństwa publicznego, tak kazał urządzić statek mający wywozić więźniów, aby zatonął w podróży.

Lutreille przed rokiem 1793 był zaledwo znanym uczonemu światu ze wzmianek jakie o nim czynili w swych dziełach, Fabrycjusz i Oliwier. W sali więziennéj znajdował się razem z nim sędziwy Biskup, którego codzień odwiedzał młody chirurg, dla opatrywania ran jego. Na kilka dni przed śmiercią biednego Biskupa, kiedy chirurg kończył swoje zajęcie, wypełznął mały chrząszczyk z pomiędzy szpar podłogi. Latreille schwytał go co prędzéj, pilnie obejrzał, przekłuł spilką którą zatknął na korku i zdawał się być bardzo uradowany ze swojéj zdobyczy. A więc to jest owad rzadki? odezwał się uczeń chirurgii. Bezwątpienia rzekł Latreille.

—W takim razie musisz mi go dać; znam pewnego młodego pana który posiada piękny zbiór owadów, bibliotekę, i udziela mi różnych ciekawych przedmiotów, jeśli mu przyniosę jaką rzadkość. Zanieś mu więc i to, odrzekł kapłan, powiedz jakim sposobem dostał ci się ten owad. Młody chirurg pobiegł natychmiast do P. Bory de Saint Vincent, ten to bowiem znakomity naturalista, był owym młodym

panem o którym on wspomniał Latreillowi. Bory szukał opisu owadów w dziełach Geoffracja, Olivier'a, w wydaniu Liszneusza przez Villers'a i w Fabrycjuszu, słowem we wszystkich, jakie były wówczas najlepsze tego rodzaju dziełach. Nazajutrz, kiedy młody chirurg do więzienia przyszedł zapytać o nazwisko owadu, Bory de St. Vincent powiedział mu, że owad ten nie jest jeszcze zdeterminowany Latreille przekonał się z téj odpowiedzi, że miał do czynienia z człowiekiem biegłym w nauce Entomologii. A ponieważ więźniom nie dawano ani piór, ani papieru, rzekł więc do chirurga: Spodziewam się, że P. Bory musi znać moje nazwisko; powiedz mu, że to Latreille jest tutaj i umrze niedokończywszy dzieła swego o przeglądzie owadów opisanych przez Fabrycjusza. Odebrawszy tę wiadomość Bory de St. Vincent udał się natychmiast do swego ojca i p. Journu Auber swego wuja, którzy uwolnieni z twierdzy Hakod od trzech miesięcy, odzyskali w Bordeaux, gdzie terroryzm ustawał stopniowo, wielki wpływ jaki im nadawał majątek i położenie towarzyskie.

Bory powiedział im, że biegły naturalista został uwięziony i błagał aby się zajęli jego losem. Dargelas, którego tenże o tém uprzedził, przyłączył się do nich. Otrzymano więc choć z wielką trudnością, rozkaz rządu departamentowego, aby Latreill'a wydano im na porękę. Z takiém poleceniem Dargelas niezwłocznie udał się do więzienia. W téj chwili odpływano już z portu; Dargelas bierze łódź i dopędza odpływających, okazuje rozkaz i Latreille zostaje ocalony. W trzy dni potém, kiedy tenże znajdował się już wśród swoich przyjaciół, dowiedziano się że okręt który unosił towarzyszów jego niedoli, zatonął w pobliżu Korduanu i sami tylko majtkowie zostali uratowani. Wspominał on często o tém zdarzeniu z uczuciem goryczy miarkowanéj radością niespodzianego ocalenia; owadowi zaś nadał nazwę *Necrobia*, złożoną z wyrazów greckich *nekros* śmierć i *bios* życie, na pamiątkę owego wypadku. Gatunek *Necrobia ruficollis* o którym tu mówimy, jest zaledwo 2 $^1/_2$ linii długi, w połowie czerwonawy a w połowie błękitny. Barwa czerwonawa zajmuje przód jego ciała, czyli tak zwany stanik, nasady pokryw skrzydłowych, piersi i nóżki; barwa błękitna pokrywa resztę ciała i niekiedy w zieloną przechodzi, tylko wąsiki są całkiem czarne. Ciało jego jest kropkowane, kosmate, a na pokrywach skrzydełek znajdują się prążki utworzone z dość dużych kropek. Mieszka w całéj Europie, u nas dość rzadki. Znaleść go można na roślinach a także w domach i opuszczonych budynkach. W stanie liszki żywi się pokarmami zwierzęcemi, jako owad doskonały wysyła miódek z rozmaitych kwiatów.

Gustaw Belke.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Salomon, dramat w 3-ch aktach przez Wacława Szymanowskiego, z muzyką Stefana Krzyszkowskiego.

Dramat, o którym dzisiaj piszemy i którego pierwsze przedstawienie na scenie Wielkiego Teatru miało miejsce w d. 27 Kwietnia b. r.—był napisany jeszcze w 1856 r. W lat więc 15 doczekał się u nas pierwszéj reprezentacji, chociaż daleko wcześniéj przedstawiony był na scenie Krakowskiéj i Lwowskiéj.

Rzecz naturalna, że dzisiaj wdawać się w szczegółowy rozbiór „Salomona", byłoby nie na czasie, bo krytyka dawno już ostatnie swoje słowo o nim wyrzekła. Nieodbiegając zatem od recenzji teatralno-artystycznéj z powyższego dramatu, musimy jednak wspomnieć o tém, że „Salomon" p. Szymanowskiego, posiadając wysoką wartość literacką, pod względem dramatyczno-artystycznym, ścisłéj krytyki nie wytrzyma. Tak zwykle bywa ze wszystkiemi dziełami dramatycznemi, jeżeli autor na scenę zamiast ludzi, wprowadzi idee, bo tym sposobem pozbawia dzieło swoje owéj życiowéj prawdy, która jest koniecznym i nieodzownym warunkiem każdego dramatu, mniejszego lub szerszego zakroju. Z takiemi właśnie ideami, obleczonemi w średniowieczną szatę żydowskiego fanatyzmu, i skrystalizowanéj najczystszéj miłości chrześciańskiéj—spotykamy się w „Salomonie" p. Szymanowskiego. Za wyjątkiem jednéj, wszystkie występujące osoby w tym dramacie, pomimo pięknego i płynnego wiersza, pomimo wzniosłych ustępów—wyglądają martwo, posągowo i nawet w scenach, gdzie przed oczami spełnia się prawdziwy dramat, gdzie krew wytoczona ręką ojcowską z niewinnych piersi dziewczyny — ma zarumienić czarną ziemię Krakowską— nawet tam, brak owego życia, owego ognia dramatycznego, pod wpływem którego drgają fibry człowieczego serca i uplastyczniają się na zewnątrz czynami noszącymi na sobie wszystkie cechy prawdy.

Właściwie mówiąc w „Salomonie", jedna tylko postać Rubena, jest postacią poruszającą się o własnych siłach, bo ma serce, krew, ogień, werwę—życie—ta jedna tylko postać jest charakterem silnie rysującym się w dramacie—w niéj jednéj autor zdołał połączyć wszystkie czynniki moralnéj natury człowieka i tak umiejętnie je z sobą powiązał, że postać wychodzi żyjąca, prawdziwa, ludzka, ale co prawda, działalność Rubena, ogranicza się tylko na szamotaniu—czynu, z jego strony w dramacie całym, niema żadnego. Inne postacie, nie wyjmując i Sary, są uosobnieniem pewnych przekonań religijnych, ale ludźmi — nie są. Prześliczna Sara, postać prawdziwie legendowa, urocza, poetyczna, jest zachwycającą bohatérką poematu, ale w dramacie, pomimo swego poświęcenia, pod względem charakterystyki, wyraźną nie jest. Pomijając Efraima, który jest niczem w dramacie — nie możemy sobie wyobrazić dla czego autor, Janinę, kochanka Sary, nawracającego żydówkę, rzucił w dramacie tak nieokreślenie, że doprawdy, na każdym kroku dziwić się przychodzi, jak taka Sara mogła pokochać i mogła być nawróconą na wiarę chrześcijańską przez takiego Janinę, który z początku robi wrażenie zwykłego awanturnika, a potém jest takie, *ni to, ni owo*, że utrwala o sobie przekonanie, *niedołężnego i głupiego szlachcica*. Czy Sara uosobnienie poezji i miłości, może kochać takiego człowieka, tak dalece, żeby aż przejść na jego religję?.. Ale co prawda i miłość Sary do Janiny, jest tak niewyraźna, że z samego dramatu widzieć tylko można, iż się kochali, a jak?... trzeba się domyślać, że gorąco...

Treść dramatu, jest bardzo prosta. W połowie XVI-go wieku w Krakowie mieszka żyd Salomon, uczony rabbi, (p. Rapacki), alchemista. Salomon, ma prześliczną córkę Sarę (p. Modrzejewska), którą oddał na wychowanie do Frankfurtu pod opiekę swego przyjaciela uczonego żyda Efraima (p. Grzywiński). Sara zaręczona jest młodemu Rubenowi (p. Tatarkiewicz), który jest uczniem Salomona, mieszka z nim razem i całą duszą ognistą kocha swoją narzeczoną Sarę. Gdy się to dzieje, powraca do Krakowa z Włoch, młody Polski szlachcic Janina (p. Stolpe), który przyszedłszy do Salomona w celu pożyczenia pieniędzy, wyznaje przed nim, że w Frankfurcie zakochał się w żydówce. Uczony Salomon, robi mu bardzo smutne przepowiednie. Za-

raz po tem wyznaniu, rzecz się cała wyjaśnia. Efraim wraca z Frankfurtu z Sarą; od niego dowiaduje się Salomon i Ruben: że Sara pokochała się w Polskim szlachcicu i oddana jest chrześciańskiéj religji. Kochankiem tym był właśnie Janina, którego Salomon spotyka z córką. Po tem odkryciu, następuje rozpacz ze strony ojca, który stara się ją wszelkiemi siłami sprowadzić na inną drogę, ale opór i stałość dla kochanka i nowéj religji w duszy Sary, jest tak wielka, że postanowienia jéj, ani gniew ojca, ani jego łzy i prośby, ani przekonywające słowa Rubena, odmienić, nie zdołają. Sara jest chrześcijanką i męczenniczką. Salomon wyczerpnąwszy wszystkie sposoby, wściekły religijnem fanatyzmem i boleścią, własną ręką nożem w bóżnicy, w obec Rubena, zabija swoją córkę, Sarę. Właśnie w téj chwili, wpada z pomocą i strażą Janina, ale niestety, swoją kochankę znajduje tarzającą się we krwi i umarłą. Przybywa więc za późno. Na tém się kończy dramat.

Grze artystów, nic zarzucić nie można. P. Rapacki grał tytułową rolę z całą artystyczną inteligencją i expresją. Fanatyzm i czułość ojcowskiego serca, uwydatniały się w całéj jego grze. Ostatnia scena przed zamordowaniem córki, kiedy wspomnieniami stara się w niéj obudzić powolność jego prośbom—była prawdziwie godna znakomitego artysty. Pani Modrzejewska w niewielkiéj stosunkowo roli, ale głównéj i bardzo trudnéj, od najmniejszego ruchu aż do extazji uczuć, zrodzonych pod wpływem światła chrześcjańskiego i miłości,—była zachwycająca— była prawdziwem wcieleniem poezji, miłości i piękna. Szczęśliwy, kto na scenie, umie być uosobnieniem tych trzech rzeczy... P. Tatarkiewicz, którego rola najbardziej była określona i wyraźna, umiał w grze wybornie łączyć fanatyzm z burzą namiętności, z pieniącą się krwią, w której część wschodniego pierwiastku fermentuje, umiał bardzo dobrze uplastycznić tę miłość młodego żyda zrodzonego pod innymi warunkami, w innych okolicznościach, ale umiejącego kochać i nienawidzieć...

P. Stolpe w roli Janiny, przy całym swoim talencie, tak sympatycznym, tak cenionym i znanym przez tutejszą publiczność, z charakteru tego, nic zrobić nie mógł, bo prawdę powiedziawszy, gdyby i sam Talma z grobu powstał, to równieżby z téj roli nic zrobić nie potrafił. Panu Stolpemu należy się wdzięczność, bo gdyby ta rola dostała się w ręce niedoświadczonego artysty, byłaby niezawodnie fatalnie wyszła, a tak, wyglądała znośnie, bo ją grał taki wyborny i rutynowany artysta, jakim jest p. Stolpe.

Dramat, ten illustrowany był muzyką p. Stefana Krzyszkowskiego, młodego tutejszego kompozytora. W rzeczach muzyki nie mamy bynajmniéj pretensji do krytycznego sądu i dziś wydając zdanie o muzyce p. Krzyszkowskiego, dlatego tylko, że jest częścią składową dramatu, o którym piszemy recenzję—opieramy się jedynie na wrażeniu, jakie na nas ta muzyka zrobiła, pomijając wszelką techniczną jéj stronę, która naszą specjalnością nie jest.

Otóż, z przyjemnością wyznać nam przychodzi, że z wielkiem zajęciem słuchaliśmy téj muzyki. Czy dla tego, że kompozytor miał dobrze przez sam dramat określone tło—dość, że sceny były bardzo odpowiednio illustrowane muzyką. W kompozycji téj znać inteligencję, głębszą myśl i dużo, bardzo dużo ruchliwéj wyobraźni, która widocznie więziona była samym dramatem i mogła się tylko dać poznać z tem, jak szerokoby się rozwinęła przy stósownych warunkach libretta.

Samą tendencję dramatu p. Szymanowskiego pomijamy zupełnie, bo kwestja żydowska, według naszego zdania, jest już przebrzmiałą. My powiedzieliśmy ostatnie słowo o téj kwestji—do żydów teraz należy być tém, czém być powinni w kraju, od którego mają wszystko....

Nikt nam za złe wziąść nie powinien, że pisząc o dramacie p. Szymanowskiego, ze zbyt surowego może stanowiska krytycznego zapatrujemy się na to dzieło—wyznać jednak musimy, że zanadto wysoko cenimy talent autora, tak powszechnie znany, zanadto szanujemy jego poważne stanowisko literackie, jakie sobie zdobył pracą i nauką, ażebyśmy mieli, pisząc recenzję, zamknąć się w kole komplementowych ogólników.

M. Dzikowski.

MECHANIKA.

V.

Ilość potrzebnego cieplika do zamiany wody na parę.

Powiedzieliśmy poprzednio że tłok w rurze będzie się tak szybko podnosił, jak szybko wytwarza się para, do napełnienia próżnéj przestrzeni potrzebna. Oczywiście dzieje się to tem prędzéj, im więcéj ciepła udziela lampa dnu rury, a tem samem wodzie. Dowiemy się późniéj, ile wyparować można wody, za pomocą jednego funtu węgla; a teraz weźmy pod uwagę potrzebną ilość cieplika, aby *zimną wodę zagotować*, a *gotującą się w parę zamienić*.

Wystawmy sobie, że lampa pod rurą pali się jednostajnie i dla tego udziela wodzie w równych perjodach czasu, jednakową ilość ciepła. Wystawmy sobie daléj, że nasz 1 cal sześcienny wody, jest w takim stanie ciepłoty (temperatury), że cokolwiek oziębiony, zacząłby marznąć. Podstawmy następnie zapaloną lampę i obserwujmy czas potrzebny do zagotowania się wody, czyli czas upłyniony od podstawienia zapalonéj lampy, do chwili, kiedy tłok zacznie się podnosić, przypuśćmy, że to będzie jedna godzina lub 1 minuta. Uważajmy jeszcze na czas dopóki woda nie wyparuje zupełnie, a przekonamy się, że ten czas $5\,^1/_2$ godzin lub $5\,^1/_2$ minut wynosi. Zkąd wypływa, że: $5\,^1/_2$ *razy tyle czasu potrzeba, aby daną massę gotującéj się wody w parę zamienić, aniżeli aby tę samą massę wody od punktu marznięcia do punktu gotowania się ogrzać.*

Prawidło to jest tak wielkiéj wagi, że go zawsze w pamięci mieć trzeba; bo ono nas uczy, że *aby gotującą się wodę w parę zamienić, potrzeba* $5\,^1/_2$ *razy tyle materjału opałowego, ile go potrzeba do zagotowania wody od punktu marznięcia.*

Pod innym jeszcze względem jest to prawidło szczególnéj uwagi godne: wstawiając ciepłomierz (termometr) w wytwarzająca się parę, przekonywamy się, że pokaże nam ten sam stopień ciepła co i gotującéj się wody. Aże woda przy ciśnieniu 15 funtów na 1 cal kwadr. gotuje się w 100 stopniach, tyleż więc stopni ma powstała para; pod ciśnieniem 30 funtów, gotuje się woda w 121°, więc i para posiadająca 30 funtów prężenia z niéj wytworzona, tę samą ciepłotę (temperaturę) posiada.

Cóż się więc dzieje z ową nadzwyczaj wielką ilością ciepła, którą się wodzie przez ciągłe palenie dostarcza?

Ponieważ ogień ogrzewając wodę przez godzinę, podnosi jéj stopień ciepła do 100°, to ogrzewając ją dłużéj, przez $5^1/_2$ godzin, powinienby podnieść jéj ciepłotę do $5^1/_2$ razy 100° czyli do 550°, czyli: że powinnaby otrzymać ciepłotę 650° nim zupełnie wyparuje, czyli ciepłotę o 250° wyższą od ciepłoty rozpalonego do czerwoności żelaza. Tu jednak podniesienie się ciepłoty nie miało miejsca, gdyż para pomimo, że tak nadzwyczajną ilość ciepła zużyła, nie stała się przez to więcéj gorącą, od gotującéj się wody. Gdzież więc jest to ciepło i dla czego nie pokazuje go ciepłomierz (termometr)?

Na pierwsze pytanie łatwo odpowiedzieć i jużeśmy nań odpowiedzieli. Ciepło ukrywa się w parze, jak to zaraz okażemy. Drugie pytanie sięga aż do granic nauki, dla tego tutaj na niego, odpowiedzieć nie możemy. Ciepło znajdujące się w parze, a przecież ciepłomierzem nie odkryte, nazywa się *cieplikiem ukrytym* albo *utajonym*.

W tych słowach zamyka się tylko sama nazwa niedostrzeżonego cieplika, bliższe zaś wyjaśnienie tego zjawiska nie jest podane.

Mowi się: cieplik został użyty do przeprowadzenia wody ze stanu ciekłego w parowy; cieplik zaś utrzymujący wodę w tym stanie, nie daje się dostrzedz na ciepłomierzu. I tu znów mówimy o tej saméj rzeczy tylko w inny sposób, nie dając o niéj bliższego wyobrażenia.

Powiedzieliśmy, że 550° cieplika ukrywa się w parze, choć go nie pokazuje ciepłomierz. Za dowód mogłoby już to posłużyć, że ogień $5^1/_2$ razy więcéj jednostajnego cieplika dostarczył od 100 potrzebnych do zagotowania wody.

Lecz to możemy jaśniéj wytłómaczyć.

Te 550° ciepła możemy na odwrót z pary wydobyć. Jednę stopę sześcienną pary 100° wytworzoną z jednego cala sześciennego wody, zamknijmy w jakiemś naczyniu. Jeżeli teraz $5^1/_2$ cali sześciennych wody 0° tam dolejemy, to zamkniętą parę zamienią na wodę, czyli wyrażając się technicznie, że się para *zagęści*, a więc otrzymamy $6^1/_2$ cali sześciennych wody, to jest: $5^1/_2$ cali wpuszczonéj wody, a 1 cal sześcienny w kształcie pary w temże naczyniu będącéj i zajmującéj poprzednio przestrzeń 1 stopy sześciennéj. Owe $6^1/_2$ cali sześciennych wody, mają obecnie ciepłotę (temperaturę) 100° t. j. tę, którą właśnie co dopiero zagęszczona para posiadała.

A zatem para zamieniając się w wodę 100°, rzeczone $5^1/_2$ cali sześciennych dolanéj wody od 0° do 100° czyli od punktu marznięcia do punktu wrzenia ogrzała, a udzielając jéj tego cieplika, przechodzi sama do stanu, z którego była przez przybywanie cieplika powstała.

Dowiedzieliśmy zatem, że *cieplik ukryty* albo *utajony* w parze, a ciepłomierzem niepokazany, jest dostatecznym do przyprowadzenia $5^1/_2$ razy większego ciężaru wody od punktu *marznięcia* do punktu *zawrzenia*.

Jest to ważny wypadek, w ocenianiu kosztów wydobycia siły pary. Ilość otrzymanego ciepła z jakiegokolwiek materjału tejże saméj własności; co do ilości, jest jednakowym stosunku. Potrzeba $6^1/_2$ razy tyle palić, ażeby wodę 0 w parę zamienić, aniżeli aby ją tylko do punktu zawrzenia ogrzać. Jeżeli woda ma np. 25° ciepła, do punktu zawrzenia potrzeba tylko o 75° podnieść jéj ciepłotę; aby ją zaś wyparować należy znów 550° ciepła dostarczyć czyli razem 625° albo $8^1/_3$ razy tyle ile potrzeba, ażeby ją zagotować.

W niniejszem całem dowodzeniu, przyjęto zasadę, że woda pod zwyczajnem ciśnieniem 15 funtów na 1 cal kwadratowy parowaną była (jak np. w otwartem naczyniu, gdyż ciśnienie powietrza tyle wynosi); możnaby się obecnie zapytać: co się będzie działo pod wpływem innego ciśnienia i innéj ciepłoty? Czyby np. parowanie nie mogło się uskutecznić z niejaką oszczędnością ciepła, a zatem i materjału opałowego? Byłoby to w saméj rzeczy, pod względem kosztowności siły pary, bardzo ważną rzeczą.

Ta jednak oszczędność nie ma tutaj miejsca. Doświadczono bowiem, że pod jakiemkolwiek ciśnieniem odbywa się parowanie, tego samego czasu i takiejże ilości ciepła potrzeba, ażeby tem samem paliwem, tę samą ilość wody w parę zamienić. Wprawdzie więcéj czasu i więcéj spotrzebuje się cieplika, gdy woda pod ciśnieniem 30 funtów na cal kwadr. dopiero przy 121° parować zacznie. Ale tworzenie się pary idzie zato prędzéj, ponieważ para o tyleż stopni mniéj ciepła w sobie ukrywa. Tak zwany ukryty albo utajony cieplik pod większem ciśnieniem, o tyle stopni jest mniejszy, o ile wrząca woda jest cieplejszą. To zatem szczególne zjawisko, tak się wyraża: że summa *utajonego* i *wolnego* (t. j. ciepłomierzem wskazanego) *cieplika, zawsze jest ta sama, to jest około* 650°; dokładniejsze wypadki, zawarte są między liczbami: 630° i 640°.

Jeżeli zatem parujemy wodę pod jakiemś ciśnieniem, którego punkt wrzenia dopiero przy 150° ma miejsce, to jest 67 funtów na 1 cal kwadr. to ukryty cieplik pary, wynosić będzie 500°; gdyby punkt wrzenia miał miejsce dopiero przy 200° pod ciśnieniem 203 funtów na 1 cal kwadratowy, to ukryty cieplik pary wynosiłby 450° i t. d.

Jest to szczególne zjawisko, przyjąć jednak musimy za normę, że *zużycie materjału opałowego zawsze jest jednakie, pod jakiemkolwiek ciśnieniem wodę przemieniamy w parę.*

Jan Pietraszek.

Wiadomości Techniczne.

— **Zapalność papieru wernixowanego.** Kopjowanie pospieszne, (po niemiecku Schnell-malerei), wymaga papieru przezroczystego, którego się ołówek, tusz i farby wodne trzymają. W robieniu tego papieru, zdarza się bardzo łatwo pożar, którego najłatwiéj uniknąć przez poznanie przyczyn pożaru.

Wysychanie pokostu i olejów wysychających, następuje skutkiem chłonienia tlenu, przez które oléj gęstnieje i temperatura mocno się podnosi. Papier woskowy czyli przezroczysty, który Niemcy Bans-papier zowią, robi się z białego papieru rygałowego (po niemiecku Seiden—albo Regal-papier). Na ryzę tego papieru używa się $1^1/_2$ funta pokostu. Powierzchnia ryzy tego papieru, wynosi z każdéj strony $2881^1/_2$ stóp kwadratowych; z dwóch stron zatem 5,763 stóp kwadratowych. Półtora funta pokostu, stykają się zatem tak znaczną powierzchnią z powietrzem. Papier nie jest w całéj swéj massie nasiąkły pokostem, ale pozostaje jeszcze dosyć dziurkowatym, aby mógł nasiąkać powietrzem. Na objętość każdéj cząsteczki pokostu, przypada najmniéj kilkadziesiąt objętości powietrza, z któremi ona się styka. Zgęszczanie się powietrza jest zatem w tym przypadku niezmiernie łatwe. Posłuchajmy co mówi o tym przedmiocie wielki jego znawca Eugenjusz Dieterich, dyrektor fabryki wyrobów chemicznych Schefer'a w Dreźnie.

,,Mój sposób robienia papieru woskowego, mówi Dieterich, jest następujący: Pokost, otrzymany przez gotowanie oleju z glejtą (tlenkiem ołownym), rozcieńczam benzyną, dodając jéj 2 do 3 funty na 1 funt pokostu. Do papieru, który więcéj pokostu wymaga, używam mniéj benzyny, a do papieru, który nie potrzebuje być mocno pokostem napojony, używam więcéj benzyny". (Zastąpienie benzyną terpentyny i spirytusu w różnych werniksach, jest bardzo trafnym pomysłem. *Redakcja*),,Rzeczoną mieszaninę $1^1/_2$ funta pokostu, z dwiema do trzema częściami benzyny

grzeję parą wody na 60 do 70° Ca w dobrze zamykających się skrzynkach blaszanych i dodaję 3 do 5 ryz papieru. Przytem staram się, aby papier na 3 piędzi cieczą był pokryty i zalany. Dokąd powietrze z papieru uchodzi, słychać szelest podobny do wrzenia cieczy. Wydalenie powietrza, można przyśpieszyć przez uciskanie papieru łopatką drewnianą. Bez tego starania pozostałyby miejsca nienapojone. Papier wyjęty z puszek, idzie pod ostrą prasę, gdzie traci nadmiar pokostu. Benzynę wydala się z niego przez suszenie w pojedynczych arkuszach na stole parą ogrzanym. Działanie to wykonywa 5 osób. Dwie osób zdejmuje arkusze ze stołu, a drugie dwie rozkładają świeży papier prasowany na stole. Te ostatnie dwie, mają polecone nie wypuszczać z ręki arkusza wysuszonego i nie kłaść go na poprzednio wysuszonych, dokąd nie ostygnie. Skoro się zbierze 12 wysuszonych arkuszy, zabiera je natychmiast piąty robotnik i zawiesza na pręcie w pełnym przystępie świeżego powietrza. Doświadczyłem bowiem, że papier pozbawiony benzyny, leżąc na kupie w ciągu jednéj godziny tyle tlenu z powietrza pochłania i przezto dostatecznie się rozgrzewa, aby bez żadnéj innéj przyczyny sam przez się żarem wybuchnął i spłonął. Pożar, wybuchły pewnego razu w suszarni fabryki, przypisywałem nieostróżności robotników. Późniéj przekonałem się o mylności mego domysłu. Dochodząc jakości świeżo zrobionego papieru, wsunąłem rękę w jego stos, spiekłem się dotkliwie i dym buchnął mi już w twarz. Wówczas spostrzegłem, że para uchodząca przy zawieszaniu tego papieru ma woń ostrą, gorczycowego olejku, pobudza mocno do łez i sprawia zawrót i ból głowy. Może być że ona podobna jest do pary uchodzącéj przy robieniu pokostu, ale jest bardziéj zgęszczona, przez olbrzymią powierzchnię papieru, na któréj rozdzielona jest mała ilość pokostu".

Jeżeli się nie mylę, powstał straszny pożar zaprzeszłoroczny teatru w Dreznie przez malowanie płócien pokostowemi farbami. Przypisano go nieostrożnemu obchodzeniu się robotników z ogniem. Przyczyną pożaru mogło być nagromadzenie na kupę płócien malowanych i wybuch ognia mógł nastąpić z tejsaméj przyczyny, z jakiéj podług powyższego opowiadania Dieterich'a, pożar w fabryce przez niego kierowanéj co tylko nie wybuchnął.

Nie jestem znawcą użyteczności papieru woskowego do ochronienia tabaki, tytoniu, mydła, herbaty i innych towarów od wilgoci lub utraty wonnych części swoich przez długie leżenie w składzie, ale tego jestem pewny: że towary te nie mogą od papieru woskowego nic trującego przybrać. Cynfolja natomiast zawiera ołów i nie jest zawsze wolną od małych ilości arsena. Być może, iż dobry, gibki i niekruchy papier woskowy, niekiedy zamiast pęcherzy mógłby być użyty.

J. B. Rogojski.

ROZMAITOŚCI.

— **Lekarstwo na emancypację żon.** Dzienniki Paryskie donoszą o zabawnym żarcie, jakiego użyła pewna liczba mężów dla wyleczenia szanownych połowic swoich z paroksyzmu emancypacji. Trzeba bowiem wiedzieć, że za przykładem Ameryki, odbyło się także w Paryżu kilka bardzo burzliwych mityngów niewieścich, które miały na celu wyzwolenie płci pięknéj z pod tyrańskiéj władzy mężczyzny. A właśnie tam mają podobne narzekania kobiet swoją komiczną stronę. „L'homme regne, la femme gouverne" — mówią w Paryżu; mężczyzna może panować, ale kobieta rządzi i nigdzie nie włada jak wiadomo wola i kaprys kobiety do tego stopnia, jak w Paryżu. Mąż chodzi przez cały dzień za swojemi sprawami, stara się zarobić, by opędzić znaczne wydatki na utrzymanie domu, uzyskać przyjazne spojrzenie od małżonki, by sprawić jéj nową suknię, zaprowadzić ją do teatru i zgotować jéj wszystko to, co kobietę uszczęśliwić może. Nigdzie nie dobija się mąż tak ciężko zarobku dziennego, jak w Paryżu. Tymczasem przepędza małżonka czas u zwierciadła, albo jedzie do modniarki, albo przemyśliwa o nowéj toalecie; bo dzieci jéj oddane zostały do pensjonatu, ażeby matka nie miała z niemi kłopotu. Zatem pozostaje jéj cały dzień do zajmowania się swoją pięknością. A przecież chcą Paryżanki uwolnić się od tyraństwa mężów.

Otóż w kilka dni po jednym z takich mityngów niewieścich, na którym piękne oratorki zaklinały swoje siostry, ażeby skruszyły nienawistne jarzmo, zgłosił się w kilkunastu domach adwokat, pragnący mówić z panią domu. Jéjmość siedziała przy toalecie, ale gość nie dał się odprawić; musiała więc przyjąć go, chociaż z ofiarą kilku drogich chwil swego zajęcia przy zwierciedle.

Gość skłonił się grzecznie i doręczył pismo stęplowe. Jejmość czytała zdziwiona i — pobladła. Adwokat ukłonił się znowu i odszedł.

Cóż zawierał ten papier? Wniosek rozwodu ze strony jéj małżonka.

Upłynęło kilka długich godzin niespokojności i obawy. Nareszcie powrócił małżonek z biura.

— „Mój drogi, co znaczy to pismo?" pyta go blada i drżąca.

— „Podałem o rozwód! Przecież chcesz być wolną! Więc będziesz..."

— „Ale ty pewno przemoczyłeś nogi! Ty się przeziębisz, kochany mężu! Usiądź przy kominku i ogrzéj się. Mam ci przygotować herbatę?"

— „Nie potrzeba, jestem zupełnie zdrów"—odpowiada mąż, śmiejąc się w duchu z téj troskliwości, jakiéj nie poświęcano nigdy jego zdrowiu. „Mnie całkiem dobrze i tobie będzie lepiéj, gdy raz będziesz wolną".

— „Ależ mężu, ja ciebie nie rozumiem! Czy mam ci podać szlafrok?"

— „Nie, dziękuję ci! Pocóż ta niewola, któréj nigdy sobie nie zadawałaś? Słyszałem twój jęk boleści, że uciemiężam cię tylko, więc nie będę już pracował dla ciebie! Dotąd spadały na nas mężów wszelkie ciężary, wszelkie troski; męczyliśmy się po całych dniach, przepędzaliśmy nocce bezsenne, przemyśliwając nad nowymi środkami zarobku, walczyliśmy z tysiącami przeciwieństw o chleb codzienny, gdy tymczasem wy żony zajmowałyście się toaletą, jeździły na spacer, odbierały hołdy od wielbicieli... To wszystko musi ustać! Precz z niewolą! Naszym obowiązkiem jest powrócić wolność wam biednym. Niech żyje wolność!"

W godzinę potém siedzieli oboje przy stole; nie było już mowy o niewoli, o skruszeniu jarzma. Wszystko zostało po dawnemu. Jakież to cudowne lekarstwo!

OGŁOSZENIE.

Wydawca, Mieczyński Adam.—w Druk. J. Jaworskiego.—Дозволено Цензурою.—Redaktor: Oskar Stanisławski.